

tom 5

Seria z sercem
prawdziwe historie miłosne



Miłość w chmurach

Seria z sercem 05

Miłość w chmurach

...Po czterdziestu minutach, stojąc w progu samolotu, witałam pasażerów lecących do Warszawy., - Przez te kwiaty ledwo zdążyłem przebukować bilet - wyznał mój adorator, wręczając mi ogromny bukiet róż. - Ale czego nie robi się dla przyszłej żony... - dodał z szerokim uśmiechem...

Miłość w chmurach

Hałaśliwy terkot budzika powoli, lecz nieustępliwie wdzierał się do mojej świadomości, oznajmiając, że czas wstawać. Chcąc, nie chcąc, zwlokłam się z łóżka, mamrocząc pod nosem niecenzuralne słowa pod adresem tego, kto wymyślił, żeby samolot do Sofii odlatywał kwadrans po piątej. Stewardesy muszą meldować się na lotnisku półtorej godziny przed odlotem, w pełnym umundurowaniu, uczesane i umalowane, z uśmiechem na twarzy. Kto sam tego nie doświadczył, nie ma pojęcia, co znaczy tuszować sobie rzęsy o trzeciej nad ranem, kiedy

sen skleja powieki jak, nie przymierzając, butapren. Nie ma jednak wyjścia, personel pokładowy to wizytówka linii lotniczych, bez względu na porę dnia oraz okoliczności musi wyglądać reklamowo.

Po krótkiej odprawie dotyczącej procedur przewidzianych na wypadek awarii, szefowa zabrała nas na pokład. Zanim nadszedł autobus z pasażerami, sprawdziłyśmy, czy gaśnice mają aktualny przegląd, rozłożyłyśmy w toaletach świeże mydełka oraz ręczniki i przyjęłyśmy catering, czyli jedzenie i napoje.

Ostatni raz zerknęłam w lusterko i stanęłam na progu, by witać gości.

Ostatni w kolejce był wysoki blondyn w eleganckim garniturze, ze skórzaną aktówką w ręku. „Widać też, biedak, służbowo” - pomyślałam ze współczuciem.

Nie znam facetów, którzy z własnej woli wiążą sobie na szyi krawat przed siódmą rano.

- Serdecznie zapraszam - uśmiechnęłam się i rzuciłam okiem na jego kartę pokładową. - Ma pan miejsce w drugim rzędzie.

- W drugim? - skrzywił się.

- Tak. Po lewej stronie.
 - A nie znalazłoby się w pani sercu?
 - Słucham?!
 - Zamiast w drugim rzędzie wolałbym mieć miejsce w pani sercu - wyjaśnił uprzejmie, skłaniając się lekko.
- Oniemiałam. „To jakiś wariat! I ja mam go wpuścić na pokład?!” - przeraziłam się.
- Niesłusznie mnie pani podejrzewa o chorobę umysłową - powiedział, jakby czytał w moich myślach. - Ale rozumiem. W końcu widzi mnie pani po raz pierwszy i nic o mnie nie wie. Za to ja znam panią doskonale. Śni mi się pani każdej nocy.
- Byłam bardzo zakłopotana, ale rutyna szybko wzięła górę.
- Pan wybaczy, musimy już zamykać - odparłam grzecznie, lecz chłodno.
 - Cóż, widzę, że ja się pani nie śniłem. No nic, jakoś to nadrobię - to rzekłszy, wszedł do środka i udał się do kabiny.
- Koleżanki nie chciały uwierzyć, kiedy w trakcie lotu opowiedziałam im, co się stało. Dopiero

gdy kilka minut przed lądowaniem szefowa wyszła na pokład z podróznym sklepikiem...

- Wyobraźcie sobie, wszystkie perfumy kupił jeden facet! Jeden!

Nie musiałam pytać który, bo oto w naszej mikroskopijnej kuchni pojawił się blondyn z drugiego rzędu.

- Panie wybaczą, że przeszkadzam. - Skłonił się dwornie. - Adam B., lat trzydzieści, kawaler, inżynier informatyk.

- Tu nie można wchodzić - oświadczyłam lodowatym tonem.

- Tak, obiecuję, że zaraz sobie pójdę... Już wiem, czemu nie przyjęła pani moich oświadczeń. Nie miałem kwiatów! Teraz, co prawda, też ich nie mam, ale te perfumy pachną zapewne równie pięknie - to mówiąc, wyciągnął przed siebie torebkę pełną kolorowych pudełek.

Mnie znów odebrało mowę, ale szefowa wykazała się refleksem.

- Wie pan co? Kwiaty to jednak kwiaty. Zwłaszcza róże. Bez róż nie ma pan szans.

Blondyn posmutniał.

- Kupiłbym je, ale nie miała ich pani w swoim sklepiku. Cóż, przed następnym lotem wstąpię do kwiaciarni.

Postawił torebkę na blacie i wrócił do kabiny, obdarzając mnie spojrzeniem.

Wkrótce wylądowaliśmy w Sofii. Opuszczając samolot, mój niedoszły narzeczony powiedział:

- Mam nadzieję, że kiedy będę wracał, znów spotkamy się na pokładzie.

- Będzie mi miło - odparłam z zawodową uprzejmością. - Ale podejrzewam, że prędzej wygra pan w totolotka, niż drugi raz trafi na mnie. Nie latamy zbyt często na tych samych trasach.

- W totolotka już wygrałem - uśmiechnął się.

- Więc może i tym razem dopisze mi szczęście.

I rzeczywiście spotkaliśmy się ponownie

- i to bardzo szybko...

Po czterdziestu minutach, stojąc w progu samolotu, witałam pasażerów lecących do Warszawy.

- Przez te kwiaty ledwo zdążyłem przebuko-wać bilet - wyznał mój adorator, wręczając mi

ogromny bukiet róż. - Ale czego nie robi się dla przyszłej żony... - dodał z szerokim uśmiechem.

W końcu zostałam żoną Adama. Choć zanim przyjął jego oświadczenia, upłynęło znacznie więcej czasu, niż zajmuje lot z Sofii do Warszawy.

Jeśli mnie kochasz, odejdź...

Wojtek, jedyny kuzyn mojego męża, a zarazem jego najlepszy przyjaciel, był częstym gościem w naszym domu. Panowie razem wychodzili na piwo i kręgle, oglądali mecze w telewizji. Lubiłam Wojtka i traktowałam jak brata; wiedziałam, że on też darzy mnie sympatią. Nieraz zastanawialiśmy się z Jarkiem, czemu taki fajny facet jest sam. Martwiliśmy się o niego.

- Dlaczego z nikim się nie spotykasz? - dziwiłam się. - Powinieneś poznać jakąś sympatyczną dziewczynę, mieć dzieci...

- A co ja na to poradzę, że tylko ty, Haneczko, mi się podobasz? Nie odbiję przecież żony własnemu kuzynowi - odpowiadał z rozbijającym uśmiechem.

- Słyszysz, mężu? Musisz się starać, bo inaczej.. . Już mam kandydata do swojej ręki! - mówiłam do Jarka.

Śmialiśmy się z tych żartów wszyscy troje. Jarkowi nie przeszkadzało, że kuzyn prawi mi komplementy i patrzy na mnie z błyskiem w oku. Ufał mi bezgranicznie.

- Nie jesteś o mnie zazdrosny? - pytałam czasem męża.

- To miłe uczucie wiedzieć, że się ma ładną i fajną żonę, która podoba się innym mężczyznom - odpowiadał. - Nawet jeśli ci mężczyźni należą do rodziny.

Mogliśmy liczyć na Wojtkę w wielu trudnych sytuacjach. Opiekował się naszymi dziećmi, ilekroć zawiodła opiekunka, naprawiał auto, a w czasie remontu domu był wprost nieoceniony. Z podziwem patrzyłam, jak gipsuje ściany i układa panele.

- Wojtku, taki wspaniały mężczyzna jak ty jest marzeniem niejednej kobiety - stwierdziłam wtedy.

- Widzisz?! Mówiłem tyle razy, zostaw Jarka! Ze mną będzie ci lepiej - żartował.

Parsknęłam śmiechem. Lubiłam Wojtkę także za jego poczucie humoru...

W drugiej połowie sierpnia wyjechaliśmy z dziećmi na wczasy do Kołobrzegu. Niestety, już trzeciego dnia do Jarka zadzwonił szef, prosząc, aby natychmiast przerwał urlop.

- Podobno muszę osobiście dopilnować jakiejś transakcji handlowej - złościł się mąż. - Ale nie martw się, Haniu, sama tu nie zostaniesz. Zadzwoniłem do Wojtki, na szczęście może przyjechać. Do końca pobytu zostało dziesięć dni, przecież nie wrócisz do Wrocławia. Szkoda pogody.

Ucieszyłam się z pomysłu Jarka, bo nie wyobrażałam sobie wypraw na plażę z dwójką naszych rozbrykanych diabląt. Z męską pomocą łatwiej mi będzie zapanować nad nimi, no i zorganizować im czas.

Wojtek, dobry przyjaciel na co dzień, okazał się także świetnym kompanem na wczasach. Budował z dziećmi zamki z piasku, pilnował ich, gdy bawiły się w wodzie, stał w długich kolejkach, aby kupić nam lody.

Należał do rodziny, nie miałam więc oporów nawet przed tym, aby poprosić go o wysmarowanie pleców balsamem do opalania.

Jego palce były ciepłe i delikatne, dotykał mnie czule jak najcenniejszego skarbu. Niespodziewanie dla samej siebie poczułam dreszcz pożądania. Pomyślałam wtedy, że Wojtek musi być doskonałym kochankiem!

- Dzięki - mruknęłam zawstydzona swoimi kosmatymi myślami, zerkając na niego, czy aby na pewno nic nie zauważył.

Gdy napotkałam jego wzrok, wszystko stało się jasne: Wojtek pragnął mnie tak samo jak ja jego! Świadomość tego sprawiła, że serce zabiło mi szybciej, a dłonie zadrżały w niecierpliwym oczekiwaniu na to, co miało nieuchronnie nastąpić.

Wieczorem, gdy dzieci usnęły, wyszliśmy na werandę domku wczasowego.

Wojtek otworzył

butelkę wina i z kieliszkami w rękach siedzieliśmy, słuchając szumu morza.

- Haniu, muszę ci to wreszcie powiedzieć... - odezwał się nagle. - Od dawna jestem w tobie zakochany. Jesteś jedyną kobietą, którą kocham. Miłością mojego życia.

Słuchałam go, dygocząc z przejęcia. Wiedziałam, że nie powinnam mu na nic pozwolić, bo mogę zniszczyć swoje szczęście małżeńskie, a na dodatek poróżnić ciotecznych braci, zniszczyć ich przyjaźń. Nie miałam jednak siły protestować ani bronić się przed żarliwym dotykiem Wojtka.

A on przysunął się do mnie, ujął moją dłoń, ucałował jej wnętrze. Zadrzałam, przymknęłam oczy... Jego ręce wędrowały po moim ciele, usta były gorące i namiętne.

- Tak marzyłem o tej chwili... Nie wyobrażasz sobie, jaki jestem szczęśliwy - szeptał, sięgając pod bluzkę do moich piersi.

Usiadłam mu na kolanach i kochaliśmy się w rytmie uderzających o brzeg morskich fal.

Kolejne dni minęły nam na ukradkowych całusach i czułościach, tak aby dzieci nic nie

widziały. Córeczka miała wówczas sześć lat, a synek cztery i dużo już rozumiały. Seks uprawialiśmy w nocy w łazience albo na werandzie. To było istne szaleństwo! Oboje o tym wiedzieliśmy.

- Chciałbym zatrzymać czas - powtarzał Wojtek w intymnych chwilach.

Ja też byłam w nim coraz bardziej zakochana, coraz bardziej spragniona.

- I co teraz? - spytałam ostatniego dnia pobytu. - Jesteś mi bardzo bliski, ale... kocham Jarka, on nie powinien się o niczym dowiedzieć. To by wszystko zniszczyło.

- Wiem, ja też nie jestem wobec niego w porządku. Ale stało się - westchnął Wojtek. - Przynajmniej będę miał co wspominać - dodał z uśmiechem pełnym smutku.

W pociągu niemal się do siebie nie odzywaliśmy. Miałam okropne wyrzuty sumienia, bałam się spojrzeć w oczy mężowi.

- Ale się za wami stęskniłem! - zawołał Jarek, wybiegając do nas, gdy podjechaliśmy taksówką pod dom (Wojtek wysiadł parę ulic wcześniej).

Mąż przytulił mnie mocno i w jednej chwili wszystko, co wydarzyło się nad morzem, wpadło w wielką otchłań przeszłości.

- Jak dobrze być w domu - westchnęłam.

Naprawdę cieszyłam się z powrotu. Przy Jarku, w jego ramionach, poczułam się bezpiecznie i na właściwym miejscu, przynajmniej dopóki nie było Wojtka. Gdy go nie widziałam, nie czułam pokusy zdrady i byłam przekonana, że ten romans był pomyłką. Wojtek jednak ciągle nas odwiedzał.

Widziałam, jak patrzy na mnie wzrokiem pełnym pożądania, i bałam się, że mąż coś zauważy, domyśli się. Najgorsze jednak było to, że przy Wojtku ożywały wspomnienia. Wychodziłam wtedy z dziećmi na spacer albo do sąsiadki na plotki, byle tylko się z nim nie widzieć, nie myśleć o jego ustach, dłoniach.

- Czy mi się wydaje, czy unikasz Wojtka? Masz do niego jakiś żal? - spytał mnie kiedyś mąż ze zdziwieniem.

- Nie, skąd - odparłam przerażona, że na pewno wkrótce wszystko się wyda.

Gdy tylko zostałam sama, natychmiast zadzwoniłam do Wojtka.

- Jarek się czegoś domyśla! Proszę, żebyś do nas przez jakiś czas nie przychodził.

- Ale ja nie mogę bez ciebie żyć! Nie rozumiesz, że cię kocham? - Wojtek był zdruzgotany moją prośbą. - Zostaw go, weź dzieci i przeprowadź się do mnie, zrobię dla was wszystko - mówił przejęty.

- Nie, błagam cię! Jeśli naprawdę mnie kochasz, zapomnij o mnie - prosiłam. Posłuchał. Zniknął na ponad dwa tygodnie. A potem Jarek wpadł do domu jak burza.

- Wiesz, że Wojtek wyjechał do Brukseli? - krzyknął. - Ktoś załatwił mu tam mieszkanie i pracę. Nawet jego matka nic nie wiedziała, wyobrażasz sobie? A z nami nawet się nie pożegnał!

Po kilku dniach dostaliśmy od niego e-maila: „Przepraszam was, kochani, że tak nagle wyjechałem i nawet się nie pożegnaliśmy, ale wszystko stało się tak niespodziewanie. Pozdrawiam was i bądźcie razem szczęśliwi”.

Ja też życzę mu szczęścia...

Ona ma fajnego brata

Co zatem proponujesz, mamó? - nie byłam już w stanie ukryć irytacji w głosie. -

To naprawdę nie jest moja wina, że wokół brak fajnych facetów.

- Wcale ich nie brakuje, tylko ty nie potrafisz ich dostrzec. A właściwie nie masz czasu nawet się rozejrzeć - zawyrokowała przez telefon moja wszechwiedząca matka. - Nic, tylko praca i praca. Tak nie można. Córeczko, to nie jest życie - tymi ponurymi słowami jak zwykle zakończyła swoje cotygodniowe kazanie.

Mimo ukończonej trzydziestki wciąż byłam stanu wolnego i to spędzało jej sen z powiek. Go z tego, że bez trudu skończyłam studia, znalazłam niezłą pracę i potrafię się sama utrzymać. Jej zdaniem szczęście mogłam osiągnąć tylko i wyłącznie w małżeństwie. Oczywiście w małżeństwie z kimś odpowiednim. Dawniej, naiwna, opowiadałam jej o moich wybrankach. Jednak żaden nie okazał się godny.

- Z nim nie będziesz szczęśliwa, źle mu z oczu patrzy - powiedziała o Krzyśku, bardzo przystojnym blondynie, mojej wakacyjnej fascynacji. - A właściwie to czym on się zajmuje?

- Nieodpowiedzialny typ. Ubiera się jak chłopiec, a przecież ma już swoje lata - prychnęła na widok zdjęcia Marka.

Po krótkiej analizie typów męskich, które miałam przyjemność przedstawić mojej matce, doszłam do wniosku, że jedynym możliwym facetem, który miałby szansę zyskać jej akceptację, byłby syn multimiliardera. Oczywiście z dobrej rodziny, z dyplomem renomowanej uczelni i rozpoczętą oszałamiającą karierą, o nienagan-

nych manierach i cieszący się nieposzlakowaną opinią. Tylko ktoś taki godzien byłby poprowadzić mnie przed ołtarz.

Niestety, taki typ występuje głównie w literaturze i może w kilku filmach. W realnym świecie nie udało mi się odnaleźć postaci godnej przedstawienia mamie. Co gorsza, ja sama nie spotkałam nikogo, kto spełniałby moje wymagania: byłby mądry, dobry, wszystko rozumiejący, godzien zaufania, z poczuciem humoru. Słowem - ktoś, dla kogo moje serce zabiłoby mocniej. Nie spotkałam? Trudno. Z czasem życie w pojedynkę zaczęło mi nawet smakować. Jediną niedogodnością były niedzielne rozmowy z mamą i świąteczne wypadki do mojej rodzinnej miejscowości. Tam wszyscy przypominali mi na każdym kroku, jak bardzo powinnam być nieszczęśliwa.

Próbowałam się bronić, czasem kategorycznie, zwłaszcza gdy atakowała mnie mama.

- Na razie nie zamierzam zakładać rodziny. Musisz się z tym pogodzić i nie wypominać mi tego w kółko - mówiłam.

Mama zazwyczaj milkła obrażona, po czym rozstawałyśmy się w stanie mniejszego lub większego nabzdyczenia, żeby po tygodniu znów wydzwaniać do siebie, jakby nigdy nic się nie zdarzyło, i po raz setny przerabiać moje życie uczuciowe - a właściwie jego brak.

Kiedyś nie wytrzymałam i opowiedziałam o tym Anecie, mojej koleżance z pracy. Ta najpierw się uśmieła, potem mi współczuła, aż przy okazji jakiejś kawy zagadnęła:

- Powinnaś dla świętego spokoju przedstawić mamie odpowiedniego kandydata.
- A gdzie ja znajdę taki cud natury? - prychnęłam z nieukrywanym politowaniem.
- Mamusia nie zadowolili się byle kim.
- Właśnie dlatego ci o tym mówię - spokojnie tłumaczyła Aneta. - Bo idealny narzeczony według twojej mamy to wypisz, wymaluj mój brat.

Po czym przegrzebała plik zdjęć w komórce, a po chwili podsunęła mi pod nos podobiznę przystojnego eleganta.

- Fiu, fiu, całkiem niezły braciszek - gwizdnęłam z podziwem. - Miło z twojej strony, ale

on musi być zajęty - powiedziałam, kładąc nacisk na słowo „musi”.

- To się zdziwisz, ponieważ od dwóch lat jest sam, nie licząc paru nieudanych prób - uśmiechnęła się Aneta. - Poza tym że nie jest synem multimiliardera, to idealny kandydat na męża. Ekonomista, z polotem, pracowity, może trochę zbyt wrażliwy. Jeżeli więc chcesz mieć z mamą spokój, Bartek jest do twojej dyspozycji.

I zrobiła zachęcającą minę.

- Zwariowałaś - warknęłam. - Dzięki, ale nie jestem aż tak zdesperowana.

Ale gdy mama w kolejny weekend znów puściła mi swoje kazanie, coś mnie podkusiło i naplotłam jej wspaniałości o Bartku, z którym się ostatnio spotykam.

- Nareszcie - w jej głosie brzmiała radość. - Mówisz o nim tak, że chyba to faktycznie jest ktoś wyjątkowy.

Z trudem powstrzymałam się od parsknięcia śmiechem, ale po odłożeniu słuchawki zrobiło mi się smutno.

„Wspaniale, nie ma co - myślałam. - Ze mną naprawdę jest coś nie tak, jeśli muszę zmyślać jakieś love story dla mamy. Chociaż, z drugiej strony, przynajmniej raz było miło”.

Z rozmyślań wyrwał mnie telefon.

- Klara, idziemy z Bartkiem do kina, może wybierzesz się z nami? - spytała Aneta.

- Dzięki - odparłam, myśląc, jak tu się wykręcić, kiedy nagle przypomniały mi się słowa mamy: „Nie masz nawet czasu się rozejrzeć”. Skoro już uczyniłam z Bartka mojego chłopaka, oczywiście na potrzeby mamusi, może jednak warto go poznać?

- Klara, to jak? - ponagliła mnie Aneta.

- Podjechać pod ciebie?

- Okej, za pół godziny przed moim domem

- zdecydowałam, a potem zaczęłam desperacko szukać czegoś fajnego na wyjście.

Kiedy podjechało auto, wyskoczył z niego wysoki szatyn w eleganckim sportowym garniturze.

- Witam - uśmiechnął się do mnie szeroko, po czym przedstawił się i otworzył mi drzwi samochodu.

Aneta mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Korzystając z chwili, kiedy Bartek wracał za kierownicę, szepnęła:

- Fajnego mam brata, co?

Nie mogłam zaprzeczyć. Żeby nie dać się ponieść fali zachwyty nad tym męskim cudem, pomyślałam, że pewnie jest strasznym zarozumialcem i gogusiem. Jednak moje podejrzenia się nie potwierdziły.

Bartek faktycznie był wyjątkowy, jakiś taki niedzisiejszy z tą całą elegancją i taktem. Przy tym zabawny i męski. Nie wiem, czy to za sprawą Anety, czy jego, ale czułam się w ich towarzystwie zupełnie naturalnie.

Po seansie Bartek zagadnął nas.

- Moje drogie panie, co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

Tu zawiesił głos i spojrzał na nas z zawadiackim uśmiechem.

- Proponuję miłą knajpkę niedaleko stąd, pyszne risotto i włoskie wino. Co wy na to?

I już po chwili siedzieliśmy w bardzo przytulnej restauracyjce. Wywiązała się żywa rozmowa.

Gadaliśmy o ulubionych filmach, muzyce, o naszych pasjach, trochę o pracy. Nasze opowieści co chwilę przerywały wybuchy śmiechu: Bartek jak nikt potrafił parodiować znane postacie ze świata mediów i polityki. Dwie godziny upłynęły nie wiadomo kiedy.

- Ojej, już północ - w pewnym momencie zerwałam się od stołu, spojrzawszy na zegarek. - Dziękuję wam za miły wieczór, ale na mnie już pora.

- Podwiozę cię do domu - zaproponował natychmiast Bartek.

- O mnie się nie martwcie, mieszkam za rogiem - rzuciła Aneta, dopijając wino.

- Ciebie podrzucę najpierw! I proszę z bratem nie dyskutować.

Po chwili zostaliśmy w samochodzie sami. Poczułam się dziwnie: uświadomiłam sobie, że siedzę obok człowieka, o którym przed paroma godzinami mówiłam, że to ktoś, z kim regularnie się spotykam. Co więcej, opisałam go mamie tak zachęcająco, że mnie samej zaczął się podobać. A teraz ten nieświadomy niczego ideał

mężczyzny podwozi mnie pod dom swoim kilkuletnim fordem. I kto wie, może nawet się umówimy... Pod wpływem tej myśli nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Fajnie, że ci wesoło, ja też się świetnie bawiłem - powiedział Bartek, zatrzymując auto pod moim blokiem. - Może powtórzmy ten scenariusz: kino, knajpka?

- Czemu nie - odparłam od niechcienia, gwałtownie szukając w torebce kluczy. - Zapytam tylko Anetę, kiedy i gdzie.

- Myślałem o spotkaniu we dwoje - Bartek nagle spoważniał. - Czy podasz mi swój numer telefonu?

Spojrzałam na niego uważniej, a potem już bez namysłu podałam mu numer, który natychmiast wpisał do komórki.

- Zadzwoń, będzie mi miło - powiedziałam, ciesząc się, że w ciemności Bartek nie mógł dostrzec, jak się rumienię.

Wracałam do domu jak na skrzydłach. Kiedy tylko zamknęłam drzwi, odebrałam od Bartka SMS-a: „Dobrej nocy, Klaro!”.

A jednak, kochana mamusiu, bardzo ci dziękuję za twoje kazania, powiedziałam do siebie w myślach, gdy leżałam już w łóżku, a potem zapadłam w błogi sen.

Gdyby wiedział, kim naprawdę jestem...

Jestem dziewczyną do towarzystwa. Płacą mi, a ja robię, co chcą. Gdyby ktoś jednak krzyknął za mną na ulicy „dziwka!”, na chwilę zastygłabym bez ruchu. Wiedziałabym, że chodzi o mnie. Przyzwyczaiałam się. Czy to lubię? Czy by mi tego brakowało? Nie sędzę...

Wszystko zaczęło się w liceum. Chodziłam do dobrej szkoły, najlepszej w Warszawie. Rodzice zawsze nalegali, abym postawiła na wykształcenie. Dbali o swoją córeczkę, chuchali i pilnowali, żeby jej się krzywda nie stała. Kochana

jedynaczka. Złote dziecko. Tak, to im wszystko zawdzięczam. A także to, kim teraz jestem.

- Kaśka, masz fajkę? - zza ściany toalety dobiegł mnie ochrypły głos koleżanki z klasy. Była długa przerwa, coś trzeba ze sobą robić. Sięgnęłam po paczkę mentolowych.

- Łap, dziewczyno! - krzyknęłam. Znałam Marię od pierwszej klasy i mówiłyśmy sobie wszystko. Przerwy pomiędzy zajęciami były najlepszym momentem na plotki oraz wymianę poglądów.

- Hej, a skąd masz taki pasek - złapałam Marię za chudy brzuch i pociągnęłam za sprzączkę. Pasek był naprawdę ładny. Z maleńkimi kryształkami na całej długości. Nie widziałam go u niej wcześniej. - Opowiadaj, gdzie kupiłaś to чудо. Koleżanka zaciągnęła się nerwowo papierosem. Od razu wiedziałam, że próbuje coś ukryć. Postanowiłam przyprzeć ją do muru. Przecież ja jej wszystko mówię!
- Tylko nie kręć. Powiedz mi, skąd miałaś kasę! - starałam się być stanowcza.

W końcu moja towarzyszka zmięknęła. Zaczęła opowiadać historię, która mnie zszokowała, a później - jak się okazało - zupełnie zmieniła bieg mojego życia.

- A nie wygadasz się przed Markiem? - spojrzała mi wreszcie w oczy. Widziałam, że błysnęła w nich iskierka podniecenia. - Obiecujesz?

- Przecież dobrze wiesz, słowa nawet nie pisnę - zapewniałam ją gorliwie.

Nie podejrzewałam nawet, jaka niesamowita opowieść kryje się za tym zdenerwowaniem. Do głowy by mi nie przyszło, że Maryśka...

- Dobra. Pamiętasz tego czarnego mercedesa, który podjechał dwa dni temu pod szkołę? - próbowała mnie wybadać.

- Pewnie! Siedział w nim taki przystojny koleś - z rozmarzeniem przywołałam w pamięci obraz nieziemskiego kierowcy w boskim samochodzie. - Wszystkie laski poprzyklejały się do szyb na korytarzu - dodałam.

Patrzyłam uważnie na Marię. Zgasiła już papierosa i teraz przyglądała mi się z tajemniczym uśmiechem. Ja kontynuowałam swoją relację.

- Siedziała z nim tam jakaś szczyłowa i pozwalała mu się...

- To byłam ja! - wypaliła przyjaciółka.

Nie sprawiała wrażenia smutnej ani zażenowanej. Wręcz przeciwnie - triumfowała!

- Dzisiaj też się z nim spotykam - dorzuciła bez wahania. - Jesteśmy umówieni na pięć stów w gotówce - patrzyła mi teraz prosto w oczy. Badała moją reakcję. A ja stałam i gapiłam się z otwartymi ustami w jej wielkie, zielone oczy obrysowane ciemną kredką.

- I wiesz co, Kaśka? On ma fajnego kolegę... W sam raz dla ciebie!

Maturę napisałam całkiem nieźle. Wystarczyło, żeby rodzicom udało się załatwić mi indeks na uczelni medycznej.

Na studiach podobałam się chłopcom. Wiedziałam to od pierwszego dnia spędzonego w akademii. Dziewczyna potrafi przecież wyczuć na swoich plecach rozpalony wzrok chłopaków.

- Hej, koleżanko, może pouczylibyśmy się razem anatomii? - słyszałam od czasu do czasu niewybredne zaczepki.

Lubiłam towarzystwo kumpli z roku, ale żaden mi nie odpowiadał. Wszyscy byli dziecinni i mieli jeszcze trochę infantylne spojrzenie na świat. Nie dawałam im nadziei.

- Może innym razem - odpowiadałam, puszczając do nich oko, i przesiadałam się w inne miejsce. - Dziś najlepiej mi zrobi samotny wieczór z książką.

W te „samotne” wieczory często byłam bardziej zajęta niż którykolwiek z moich adoratorów mógłby przypuszczać. A za dwa dni podobałam im się jeszcze bardziej w bardzo drogiej nowej bluzce lub kiece.

Wtedy miałam już kilku panów, z którymi spotykałam się regularnie. Jeden był wysokim brunetem, drugi niskim szatynem o rozmarzonych oczach. Niektórzy byli szarmanccy, inni bardziej oschli i zamknięci w sobie. Chyba ich lubiłam, a i oni też darzyli mnie swego rodzaju sympatią. Nie zawsze chodziło o sam seks - czasem zdawał się on być zwieńczeniem miłego wydarzenia, jakim było nasze spotkanie. Bywało, że tylko rozmawialiśmy, ale oni i tak płacili.

Gdyby ktoś mnie zapytał, czy chodziło wyłącznie o pieniądze, bez wahania odpowiedziałabym: „nie”. Rodzice od najmłodszych lat mnie rozpieszczali i nigdy nie brakowało mi niczego. Może potrzebowałam stworzyć swój własny świat - inny od tego, jaki oni dla mnie ulepili ze swojej gliny.

Pewnego dnia stało się coś dziwnego. Do naszej grupy dołączył Patryk, nowy student, który przeprowadził się z Poznania. Był cudny jak anioł. Miał włosy w kolorze bursztynu i oczy o najpiękniejszym odcieniu błękitu, jaki kiedykolwiek widziałam. Silne kości policzkowe dodawały mu męskości. Nie miał jednak drygu do dziewczyn, chociaż te oblepiały go namolnie przed każdymi zajęciami. Zauważyłam, że po raz pierwszy jestem zazdrosna o jakiegoś mężczyznę.

Postanowiłam, że zawrócę mu w głowie.

- Cześć, jak tam aklimatyzacja? - zaczepiłam go, jak tylko tłumek wokół niego trochę się rozproszył. - Jeśli masz problem...

- Dzięki, jakoś sobie radzę - odpowiedział lekko zmęczony. Prawdopodobnie spodziewał

się kolejnego zmasowanego ataku. - Jak tam pa-tomorfologia? - starał się być uprzejmy, choć mało oryginalny. Już miałam rzucić jakiś frazes, gdy nagle jeden szczegół w jego wyglądzie przykuł moją uwagę.

- Jesteś żonaty?! - spytałam chyba odrobinę zbyt głośno.

- To nie jest obrączka! - odpowiedział jak najbardziej naturalnie. - To mały różaniec noszony na palcu - wyjaśnił. - Dodaje mi siłę, gdy zaczynam w siebie wątpić - skwitował z serdecznym uśmiechem. Nagle dotarło do mnie, jak straszliwą gafę popełniłam. Było mi okropnie głupio.

- Przepraszam...

Czułam, że zaczynam się robić czerwona jak burak. Ale dałam popis! Patryk jednak wydawał się wyraźnie rozbawiony całą tą sytuacją.

- A może... - zaczął nieśmiało - może prze-szłabyś się ze mną na piknik dobroczynny w niedzielę? - wycedził wreszcie.

Byłam tak skołowana, że oczywiście się zgodziłam. Nie pamiętałam nawet, że na niedzielę

miałam już zaplanowane spotkanie z pewnym panem, które raczej niewiele miało wspólnego z dobroczynnością. Po raz pierwszy wtedy skłamałam klientowi i zrezygnowałam z zarobku.

Po tym wydarzeniu wszystko się zmieniło. Od razu wiedziałam, że podobam się Patrykowi. Największym jednak zaskoczeniem było dla mnie to, że on nie jest mi obojętny. Zaczęliśmy spędzać ze sobą mnóstwo czasu. Czułam się przy nim tak wspaniale swobodnie, a jednocześnie miałam ochotę stawać się lepszą osobą.

Nie zerwałam jednak kontaktów z „panami”. Chciałam dalej mieć ładne ciuchy i niczego sobie nie odmawiać. Mój telefon dzwonił nieraz w samym środku nocy, gdy któryś z tych mężczyzn potrzebował kobiety. Jak długo mogłam jednak utrzymywać to w tajemnicy przed moim ukochanym?

- Przepraszam, ale dzisiaj nie mogę się z tobą spotkać... - mówiłam enigmatycznie. Wiedziałam, że zaczną się dopytywać.

- Znowu? Wczoraj mówiłaś o spotkaniu rodzinnym - był zawiedziony i zaniepokojony.

Zawsze milczałam w takich momentach. A on nie drażył. I za to kochałam go jeszcze bardziej.

Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie tak bardzo wzrusza - głęboka wiara Patryka. Nigdy w swoim życiu nie spotkałam osoby, która tak szczerze się modli, tak bardzo stara się być dobrym katolikiem. Dlatego właśnie Patryk nigdy nie nalegał na rozpoczęcie współżycia.

Jak przewrotny może być los?!

- Cieleśność powinna być zarezerwowana tylko dla małżonków - powtarza czasem, głaszcząc moje włosy.

Wierzy, że jestem taka jak on! Tym bardziej zdaję sobie sprawę, jakim ciosem będzie dla niego poznanie prawdy o mnie. Muszę mu w końcu o tym powiedzieć. Tylko kiedy, jak? W jaki sposób dokonać czegoś takiego, skoro pod swoimi drzwiami codziennie znajduję maleńką białą różę?

- To symbol tego, co jest najpiękniejsze w dziewczynie - mówi z uśmiechem mój książę, kiedy dziękuję mu za podarunek. - To symbol czystości.

Jestem wolna

Moja historia z Mateuszem zaczęła się już w liceum. Poznaliśmy się przez naszą wspólną przyjaciółkę Julię. Imponował mi swoją wiedzą, błyskotliwością, a przede wszystkim sposobem patrzenia na świat. Wiem, że to zabrzmiało banalnie, ale był po prostu inny niż wszyscy. W przeciwieństwie do naszych rówieśników nie lubił się popisywać, bezsensownie zwracać na siebie uwagi. Był bardzo dojrzały, mimo że miał zaledwie siedemnaście lat.

Już wcześniej, zanim poznaliśmy się bliżej, coś mnie w nim pociągało i intrygowało, dlate-

go gdy Julia zaproponowała któregoś dnia, żebym wybrała się z nimi na koncert, nie posiadałam się ze szczęścia.

Tak oto zaczęła się nasza przyjaźń. W szkole na przerwach przesiadywaliśmy zawsze razem, chodziliśmy we trójkę do kina, rozmawialiśmy godzinami.

Czuliśmy się we własnym gronie po prostu wspaniale.

Był to chyba najlepszy okres mojej młodości. Zawsze jednak wiedziałam, że to Julia jest dla Mateusza najważniejsza. Czy ją kochał? Myślę, że tak, i to głównie z tego powodu zaczęło się psuć między nimi. On zapragnął od niej czegoś więcej niż tylko przyjaźni. Ona natomiast nie chciała i nie mogła zaoferować mu niczego ponad nią.

Ale Mateusz był wytrwały i cierpliwy. Postanowił zaczekać na Julię tyle, ile będzie trzeba. Pisał czułe SMS-y, starał się zawsze być przy niej. W pewnym momencie nawet zaczęli się spotykać tylko we dwójkę.

Ja jednak wiedziałam, że Julia nigdy nie będzie w stanie go pokochać, bo jej serce od dawna należało do kogoś innego. Ale jak to często

bywa na poplątanych ścieżkach miłości, obiekt westchnień mojej przyjaciółki pozostawał na nie kompletnie obojętny.

Tym trudniej było mi się pogodzić z tym, że Mateusz oddalał się ode mnie coraz bardziej. Każdego wieczoru czekałam, by się do mnie odezwał, warowałam bezsensownie przy telefonie z nadzieją, że znów usłyszę jego głęboki głos, który tak bardzo kochałam. Ale honor i duma nie pozwalały mi uczynić pierwszego kroku.

W końcu się doczekałam. Którejś nocy zadzwonił do mnie. Z urywanych zdań wywnioskowałam, że Julia wyznała mu wszystko. Powiedziała, żeby nie robił sobie nadziei, bo nic do niego nie czuje. Wyskoczyłam z łóżka, zadzwoniłam po taksówkę i pojechałam do Mateusza. Całą noc tłumaczyłam mu, że tak będzie lepiej dla nich obojga, że takie rzeczy lepiej wiedzieć wcześniej, niż niepotrzebnie się łudzić, a potem boleśnie rozczarowywać. Ale on był kompletnie załamany. I bardzo nieszczęśliwy.

- Nie będę w stanie jej zapomnieć- powtarzał zrozpaczony. - Nie mam już po co żyć!

Przez pół roku byłam na każde jego zawołanie, przyjeżdżałam, gdy było mu smutno i źle. Przez cały ten czas bardzo cierpiałam. Widziałam, jak ją kocha, rozumiałam, że ja nie mam żadnych szans. Mateusz koncentrował się wyłącznie na sobie. Ani razu nie zapytał mnie, jak ja się czuję, co u mnie słyszeć. Zawsze mówiliśmy tylko o jego sprawach i robiliśmy to, na co on akurat miał ochotę. Marzyłam, żeby przejrzał na oczy i zamknął w końcu rozdział z Julią raz na zawsze. Żeby chociaż zauważył, że to ja się nim opiekuję w trudnych chwilach, że rozumiem go ja nikt inny. Że go kocham, do cholery!

Po jakimś czasie Julia znowu się do niego odezwała. Poleciał do niej jak na skrzydłach, choć ostrzegałam go, że będzie tego gorzko żałować. Czułam straszną bezsilność, która zaczęła przeobrażać się w złość. Ja cackałam się nim, licząc choćby na jeden miły gest, a Julia, przez którą tak bardzo cierpiał, miała dostać wszystko, czego chce - za darmo i od razu?! Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak ślepo byłam

w niego zapatrzona. Jakie marne było moje życie wypełnione złudzeniami i nadzieją.

Mateusz znów był z Julią, do mnie nie zadzwonił już więcej. A ja - ku swojemu zdziwieniu - odczułam ogromną ulgę! Najwyraźniej zbrzydła mi już rola powierniczki. Nie chciałam udawać, że cieszę się cudzym szczęściem.

Po paru miesiącach bez Mateusza mogłam znów swobodnie oddychać. Nie musiałam nieustannie trzymać nikogo za rączkę i pocieszać jak małego chłopca. A gdy poszłam do pracy, poznałam Wojtkę, mojego obecnego męża. To z nim tak naprawdę jestem dopiero szczęśliwa i czuję, że żyję.

Nabrałam do tej całej historii z Mateuszem tak dużego dystansu, że gdy zadzwoniła do mnie niedawno zapłakana Julia i powiedziała, że się rozstali, bo Mateusz ma poważny problem z narkotykami, nawet się zbytnio nie przejęłam. Prosiła mnie, żebym coś w tej sprawie zrobiła, bo podobno mam na niego zbawienny wpływ. Ja jednak nie miałam ochoty wcielać się ponownie w rolę siostry miłosierdzia.

- Jedyne, co ci mogę poradzić w tej sytuacji, to żebyś się zgłosiła do najbliższej placówki odwykowej - zasugerowałam spokojnym głosem, po czym odłożyłam słuchawkę.

Trochę było mi z tym nieswojo. Nie jestem osobą bez serca. Wiedziałam jednak, że moja pomoc na niewiele by się zdała. A poza tym ja mam już komu pomagać.

Przeszłość upomniała się o ciebie

Wkroczyła w nasze życie bezczelnie, rozpychając się łokciami. Wpadła jak żarłoczne tornado, pochłaniając w całości cudze szczęście. Miała wiele na swoje usprawiedliwienie.

Wiedziałam o niej od początku. Kiedyś, dawno temu, była dla ciebie ważna. Teraz liczyliśmy się tylko my. Zdążyłam o niej zapomnieć, zresztą po co miałabym pamiętać? Dawna miłość z czasów młodości. Któż nie ma takich wspomnień...

Od kilku lat to ja jestem najważniejsza, ja dzierzę berło żony i kobiety twojego życia.

Twierdziłeś, że przeszłość zamknąłeś, trzaskając drzwiami. Ona też od ostatniego spotkania wieki temu nie odzywała się do ciebie. W pewien sposób wyświadczyła ci nawet przysługę. Byłeś za młody na deklaracje, jakich oczekiwała. Uciekałeś od poukładanego, dojrzałego życia. Młodość była dla ciebie etapem życia w naturalny sposób obfitującym w zmiany, pełnym ciągłych zaskoczeń i nieustannej zabawy. Na pewno nie myślałeś wtedy o stabilizacji potwierdzonej urzędowym papierkiem. Ona musiała i zechciała się z tym pogodzić.

Jakiś rok później dowiedziałeś się od znajomego, że wyjechała. Podobno poznała kogoś, wspominała nawet coś o dziecku. Jedyne raz przysłała ci kartkę w dniu imienin, życząc szczęścia. Napisała też, że sama je właśnie znalazła. Cieszyłeś się, że ułożyła sobie życie.

Byliśmy już wtedy razem, zakochani, z planami na przyszłość. Dojrzałeś, zapragnąłeś stabilizacji i uporządkowania. Nie pociągała cię już nieprzewidywalność. Po kilku wspólnych latach wzięliśmy ślub. Przeciwwstawialiśmy się codzien-

ności z mocnym postanowieniem realizowania marzeń i stawiania oporu rutynie. Co tydzień wypad za miasto, czasem impreza, rzadziej wakacje za granicą. Kolacje w restauracji, wieczory w teatrze, wyprawy w góry. Wszystko toczyło się zgodnie z planem - bez niespodzianek i zwrotów akcji. Ciekawie, ale nie przytłaczająco. Spokojnie, pewnie i stabilnie. Do wczoraj.

Wczoraj ona otworzyła zatrzaśnięte drzwi. Jednym telefonem obróciła w proch ład i nasze plany. Zadzwoiła do ciebie z prośbą o pomoc. Byłeś całkowicie zaskoczony, ja tym bardziej. Przecież nie kontaktowaliście się od wielu lat. Dlaczego nagle sobie o tobie przypomniała? Chciała się spotkać, najlepiej już tego samego dnia. Mówiła, że to sprawa życia i śmierci. Poznałeś po głosie, że była bardzo przybita. Nie podała szczegółów, ale nic błahaego nie pchnęłoby jej w tak nagłą podróż sześćset kilometrów pociągiem.

Umówiliście się na rozmowę w cztery oczy. Nie było cię cały wieczór. Niepokoiliam się, a może byłam po prostu zazdrosna. W głowie

dźwięczał mi jakiś banał o starej, nierdzewiejącej miłości. Miałam ciężki dzień, postanowiłam nie zaprzętać sobie głowy zdarzeniami z przeszłości. Wyjęłam z barku wino i spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Miałam wszystkiego dość po dzisiejszej scysji z szefową. Która to już z kolei? Teraz chciałam tylko, żebyś był obok i mnie przytulił.

Dopijałam lampkę wina, gdy wszedłeś do domu. Czyżbym intuicyjnie wyczuwała, że będę potrzebować czegoś relaksującego? Kiedy odwróciłam się, żeby cię pocałować na powitanie, zobaczyłam bladą, posępną twarz. Nie pamiętam, kiedy widziałam cię w takim stanie.

- Co się stało? - zapytałam cicho, bojąc się odpowiedzi.

- Mam dziecko... Z nią.

Grom z jasnego nieba był czymś, czego mogłam spodziewać się bardziej.

Usiadłeś, wbijając wzrok w puszysty dywan. Oddychałeś ciężko, jak po walce.

- Dziewczynka, siedem lat. Naprawdę dowiedziałem się dopiero dzisiaj.

Alkohol w jednej chwili wyparował mi z głowy. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wpatrywałam się tylko w pusty kieliszek. Co ty sobie wyobrażasz, do cholery?! Myślisz, że możesz tak po prostu powiadomić mnie o tym wszystkim, a potem, jakby nigdy nic, zjeść kolację i pójść spać?! Chciałam krzyczeć, ale nie zrobiłam tego. Nie wiedziałam zresztą, do kogo powinnam skierować swój krzyk: do ciebie czy może raczej do niej?

Słuchałam jak otepiała, kiedy zacząłeś tłumaczyć. Ona nie powiedziała ci o ciąży wtedy, ponad siedem lat temu, bo właśnie odszedłeś, kiedy się zorientowała.

Poznała innego, potem ty byłeś już ze mną. Wolała nic nie zmieniać.

Dopiero teraz, kiedy Amelka czekała na przeszczep i tylko ty mogłeś pomóc jej przeżyć, musiała ci o tym powiedzieć. Bardzo przeprasza, że to wszystko tak się potoczyło, ale nie miała wyjścia. Tak, dobrze wie, że to wyłącznie jej wina.

Żałuje, prosi, oczekuje. Ona. A czego ja mogę teraz oczekiwać? Kim teraz mam być? Wdzięczną siostrą miłosierdzia, która sama nie mogąc

zostać matką, otrzymuje w zamian dar ojcostwa swojego męża? Wyrozumiałą i empatyczną towarzyszką niedoli ofiarowującą dar przebaczenia? Dzisiaj chciałabym tylko się do ciebie przytulić, choć ty przecież sam wymagasz pocieszenia. Wiem, musimy sobie jakoś z tym wszystkim poradzić. Zawsze sobie radziliśmy. Może jutro trzeba będzie od nowa poukładać sobie życie? Nie wiem jak. Dzisiaj ona przesłania mi wszystko, dlatego na razie zupełnie nie wyobrażam sobie jutra...

Nie jestem aniołkiem!

Ange ou diable - przeliterowałam napis na perfumach. - Co to znaczy? Bogdan popatrzył na mnie rozbawiony.

- Anioł albo diabeł - powiedział. - Spodobała mi się nazwa tych perfum, więc ci je kupiłem.

Tamtego lipcowego wieczoru Bogdan, mój oficjalny facet od roku, znowu zrobił mi miłą niespodziankę. Bez powodu. Był taki kochany... Roztarłam kroplę z eleganckiego flakonika na przegubie dłoni i powąchałam.

- Dziękuję! Jaki piękny zapach... Uwielbiam francuskie perfumy!

- Rzeczywiście, pachną cudownie - potwierdził Bogdan, pocałował mnie w szyję i zaczął rozpinąć mi bluzkę.

- Nie jesteś przypadkiem głodny?

- Jestem głodny ciebie - wymruczał.

Po godzinie namiętności, kiedy wtuleni w siebie leżeliśmy w łóżku, spytałam:

- A ja kim dla ciebie jestem: aniołkiem czy diabełkiem?

- Aniołkiem - odparł. - Na sto procent! Westchnęłam ciężko, bo nie miałam czystego

sumienia. Aniołkiem nie byłam!

Wszystko przez moją przyjaciółkę Aśkę. Fajna z niej kumpela, ale ma jedną wkurzającą cechę: uwielbia robić ludziom kawały. Dlatego gdy zadzwoniła do mnie pierwszego kwietnia, powinnam była od razu się domyślić, co knuje. Ale ja oczywiście nie pamiętałam, że jest prima aprilis.

- Muszę ci coś powiedzieć, Jolu - jej grobowy głos od razu mnie zaalarmował. - Ja i Bogdan jesteśmy w sobie zakochani. To trwa już kilka tygodni. Bogdan nic ci nie mówił, ponieważ nie chciał cię zranić...

Poczułam się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w serce. Osłupiała rozłączyłam się i wybiegłam z domu. Nie miałam pojęcia, dokąd idę. Snułam się jakiś czas po ulicach. Moja komórka nieustannie dzwoniła. Wyłączyłam ją.

W końcu weszłam do pierwszej lepszej kawiarni. Zamówiłam kawę i usiadłam pod oknem. Jeszcze był dzień, ale ja czułam się tak, jakby otoczyły mnie ciemności. Wpatrywałam się w kubek z kawą, której nie byłam w stanie wypić.

- Niech pani nie płacze - rozległ się męski głos tuż obok. - Bo ja też zaraz zacznę.

Spojrzałam w prawo: przy sąsiednim stoliku siedział chłopak z burzą rudych włosów. Podał mi chusteczki higieniczne i uśmiechnął się. Dotknęłam policzków

- były mokre od łez. A ja nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę!

- Dziękuję - bąknęłam i wytarłam nos.

- Mam propozycję - powiedział. - Idę do kina. Może pójdziesz ze mną? To chyba lepsze niż rozpaczanie w kawiarni.

- To chyba nie jest... - zaczęłam, ale w tej samej chwili przyszło mi do głowy: „Czemu nie?”.

Tym bardziej że nieznajomy był w moim typie. Wysoki, barczysty, no i miał ten uroczy uśmiech...

- Dobrze - powiedziałam. - Jestem Jola.

- A ja Błażej.

To był cudowny wieczór. Po kinie poszliśmy na wino. Dzięki Błażejowi sprawa z Bogdanem wydała mi się dziwnie odległa, jakby mnie już nie dotyczyła wcale albo choć o wiele mniej. Oczywiście opowiedziałam Błażejowi całą historię, pocieszył mnie słowami, które podziałały jak balsam. Czułam, że z każdą chwilą łączy nas coraz więcej.

Nie protestowałam, kiedy objął mnie i pocałował. Nie myślałam, że mogę się zakochać w ciągu jednego wieczoru, i to w takich okolicznościach. A jednak tak się stało!

Wróciłam do domu o północy. Przed moimi drzwiami siedziała Aśka.

- Dlaczego nie odbierałaś? - napadła na mnie. - Umierałam ze strachu!

- Nie wiem, po co tu przyszłaś... - zaczęłam, ale mi przerwała:

- To był żart!

- Żart? - powtórzyłam. - O czym ty...

- Dziś jest prima aprilis! A ja wcale nie jestem z Bogdanem!

Poczułam, że zaraz zemdleję.

- Coś ty narobiła! - rozdarłam się na całą klatkę schodową. - Przez ciebie teraz mam dwóch facetów!

- Przepraszam, ja nie chciałam...

No tak, ona narozrabiała, a teraz ja mam kłopot. Od tamtego dnia spotykałam się z nimi dwoma, ponieważ nie mogłam się zdecydować, z którym mam być. Z Bogdanem widywałam się u niego, z Błażejem - na mieście. Kłamałam, kręciłam, kluczyłam, wymyślałam różne fortele, żeby nie wpaść. Mijały tygodnie. Aż pewnego dnia...

- Jolu, wyobraź sobie, wpadłem dziś na ulicy na kolegę z podstawówki - powiedział Bogdan. - Nic a nic się nie zmienił.

- Naprawdę? - spytałam zdawkowo.

- Tak, wciąż jest takim zabawnym rudzielcem. W podstawówce lekko seplenił. Wszyscy bardzo go lubili. Ma rzadkie imię: Błażej.

Poczułam, że robi mi się zimno. Rude włosy, imię... Czyżby to był mój Błażej?

- Jak on ma na nazwisko? - spytałam niby od niechcenia.

Tak, chodziło o niego!

- Zaprosiłem go na kolację. Wpadnie za pół godziny - powiedział Bogdan, wyjmując z szafki makaron. - Zrobię spaghetti z tuńczykiem, co ty na to?

Ale ja już stałam przy drzwiach.

- Kochanie, przed chwilą dostałam SMS-a od siostry, muszę do niej natychmiast jechać

- coś się stało, ona potrzebuje mojej pomocy!

- skłamałam.

- Trudno - odparł Bogdan, wyraźnie rozczarowany. - Poznasz Błażeja przy innej okazji.

Kilka dni później znów musiałam łączyć. Tym razem przed Błażejem. Zaprosił mnie do kina. Kiedy staliśmy w kolejce po bilety, oznajmił, że za chwilę dołączy do nas jego kolega Bogdan.

- Znamy się z podstawówki - wyjaśnił.

- Wyobraź sobie, wpadliśmy na siebie niedawno na ulicy i...

Nie dałam mu dokończyć. Skłamałam, że rozbolał mnie brzuch i uciekłam do domu.

Miałam wszystkiego naprawdę dość. Zadzwoiłam do Aśki.

- Tak dłużej być nie może! - krzyknęłam. - Co ja mam robić? Poradź mi coś! W końcu to przez ciebie znalazłam się w tej głupiej sytuacji.

- Musisz wreszcie podjąć decyzję - oświadczyła przyjaciółka. - Z którym z nich chcesz być: z Bogdanem czy z Błażem?

„No właśnie, z którym tak naprawdę chcę być?” - pomyślałam. Bogdan jest opiekuńczy, wrażliwy i szarmancki. Przy nim czuję się bezpiecznie. Błaż nie dorównuje mu pod wieloma względami. Nie zna się na książkach, nie lubi analizowania i długich rozmów o uczuciach. Ale uwielbiam go za spontaniczność i poczucie humoru.

- Z Błażem - powiedziałam w końcu.

- Uff - rozległo się po drugiej stronie. - Teraz mogę ci powiedzieć.

- O czym? - zaniepokoiłam się.

- W moim żarcie na prima aprilis było...

ziarno prawdy - powiedziała Aśka. - Bogdan od dawna mi się podoba.

- O rety - jęknęłam. - To znaczy, że on...

- Nie musisz się obawiać, nie zdradził cię - zapewniła mnie Aśka. - Ale niedawno spotkaliśmy się przypadkiem na mieście i poszliśmy na herbatę. Okazało się, że on również coś do mnie czuje, tylko nie chciał cię zranić. Ja też nie.

- No to wreszcie widzę rozwiązanie - westchnęłam z ulgą. - Bierz Bogdana!

Miała być dla syna, wziął ją sobie mąż

Mój mąż był raczej typem domatora i nie przepadał za wyjazdami. Najchętniej cały urlop przesiedziałyby na działce, kopiąc, sadząc i pielęgnując. Jednak dla mnie ogród to tylko namiastka wypoczynku, sposób na spędzenie miłego weekendu na świeżym powietrzu. W wakacje chciałabym wyjechać gdzieś dalej, zwiedzać nowe miejsca, poznawać ludzi...

Tym bardziej że przecież było nas wreszcie stać na podróże. Po latach oszczędzania i zaciskania pasa mieliśmy czteropokojowe mieszka-

nie, dobry samochód i zasobne konto w banku. Adam awansował na ordynatora szpitala, ja także nie mogłam narzekać. Jako starszy specjalista w biurze rachunkowym zarabiałam naprawdę nieźle.

Traf chciał, że całkiem niedawno znalazłam na Naszej klasie koleżankę ze studiów, Krysę. Bardzo się przyjaźniłyśmy, jednak po rozdaniu dyplomów nasze drogi jakoś się rozeszły. Ona wróciła na wieś do rodziców (choć nie miałam pojęcia, co planowała tam robić jako ekonomistka!), pozostał nam kontakt listowny. Korespondowałyśmy jeszcze ze sobą przez jakiś czas, ale potem kontakt się urwał. Wtedy jeszcze nie było Internetu, który teraz tak ułatwia życie. Kryska napisała mi, że jest wdową i ma już dorosłą córkę. Iwonka włączyła się w prowadzenie gospodarstwa rodziców, wystarała się o unijne dotacje i teraz prowadzi agroturystykę. Moja przyjaciółka ze studiów bardzo się ucieszyła, że odnalazłam ją po latach. „Musisz koniecznie do mnie przyjechać na wakacje, zapraszam! - nalegała w e-mailu. - Dla przyjaciół mam zawsze

wolny pokój. Stąd niedaleko na Litwę, można pozwiedzać. Lasy wokoło piękne i jeziora. Wypoczniecie sobie z mężem od zgiełku miasta!".

Trochę się wykręcałam ze względu na Adama, ale Krysia nie odpuszczała!

„Ulka, nie przyjmuję odmowy! Napisz mi koniecznie, kiedy chcecie wpaść, bo inaczej sama po ciebie przyjadę i siłą do siebie zaciągnę" - zagroziła, więc uległam. Zresztą propozycja była naprawdę kusząca.

Szczególnie podziałała mi na wyobraźnię możliwość wyprawy do Wilna. Dawno, dawno temu to miasto zachwyciło mnie swoim klimatem. No i właśnie tam Adam poprosił mnie o rękę...

Pozostało mi jeszcze namówić na wyjazd męża. On oczywiście nie był zachwycony.

- Po co mi cudze gospodarstwo, skoro ja mam tutaj swoje? Chwastami mi zarośnie cała działka, jeśli tam wyjadę - narzekał jak jakiś zgorzkniały emeryt.

- Kochanie, zbliża się dwudziesta piąta rocznica naszych zaręczyn i... - zaczęłam.

W pierwszej chwili nie załapał, ale zaraz potem odchrząknął.

- Taaaak... Wilno.

- Właśnie! Może odnowilibyśmy naszą przysięgę w kościele Matki Boskiej Ostrobramskiej? - zapytałam.

- To całkiem dobry pomysł - stwierdził, nagle mąż i przytulił mnie zupełnie jak za narzeczeńskich czasów.

Hurra! Zgodził się na wyjazd!

Dawno się już tak nie cieszyłam jak wtedy. Przede mną rysowały się dwa tygodnie błędnego lenistwa, rowerowych wypraw do lasu, kąpieli w jeziorze... A pewnie także wieczorów przy dobrym winku i grillu, popołudniowych seansów na tarasie z książką. Wreszcie sobie poczytam wszystko, na co nigdy nie miałam czasu!

Adam także wydawał się ożywiony tą wyprawą. Kupił nawet nowy bagażnik na rowery i sprawdził swoje stare wędkę.

Kiedy dojechaliśmy do gospodarstwa Krystyny, rzeczywistość przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Było cudnie!

Cisza i spokój, do najbliższej wsi piętnaście kilometrów, a wokoło tylko bezkresne łąki poprzetykane jeziorami.

Wysiadłam z auta i odetchnęłam pełną piersią. A potem wpadłam w rozłożyste ramiona Krystyny.

Trochę jej przybyło ciała przez te lata, ale wciąż była piękna i szalona.

- Jesteście zmęczeni podróżą, więc sobie trochę odpocznijcie, a potem was oprowadzę po gospodarstwie - zaproponowała.

Nakarmiła nas pajdami pysznego chleba ze smalcem i zaprowadziła do pokoju.

Znużeni drogą i upałem zdrzemnęliśmy się oboje. Kiedy się obudziłam, za oknem zachodziło już słońce, a po moim mężu nie było śladu. Wpadł po chwili zaaferowany.

- Skarbie, czy wiedziałaś, że oni mają tutaj konie? Przepiękne angloaraby, idealne pod wierzch! Jak ja dawno nie jeździłem konno, a przecież kiedyś to uwielbiałem! - wykrzykiwał. - Tylko... czy ja jeszcze potrafię? - zaniepokoił się.

- Z jazdą konną jest jak z jazdą na rowerze. Nie zapomina się - zapewniłam go. Sama nie lubiłam za bardzo koni, nawet trochę się ich bałam. Ale ucieszyłam się, że Adam znalazł sobie zajęcie na te dwa tygodnie. Teraz już byłam pewna, że nie zamęczy mnie swoim narzekaniem.

Istotnie, na konną wycieczkę wybrał się już następnego ranka, razem z córką Kryśką i kilkoma letnikami. Wrócił umęczony, ale szczęśliwy.

Z kolei ja przez pół dnia oddawałam się ploteczkom. Powspominałyśmy z Kryśką dawne czasy. Opowiedziałam jej o naszym synu, który wyjechał na stypendium do Niemiec, ale wkrótce ma wrócić do Polski.

- On jest taki ambitny, tylko nauka mu w głowie. Wyobraź sobie, że nie chodził jeszcze na poważnie z żadną dziewczyną. Czyja się kiedyś doczekam wnuków? - poskarżyłam się przyjaciółce.

- Teraz młodzi późno się wiążą... Popatrz na moją Iwonkę. Ładna, mądra, niczego jej nie brakuje. Adoratorów wokół niej na pęczki, ale ona

żadnego nie traktuje poważnie - stwierdziła na to Kryśka. - Wróciła po germanistyce na gospodarstwo i teraz mi stronę internetową po niemiecku robi, żeby ściągnąć zagranicznych gości. W ogóle mówi, że tutaj jej dobrze i ma zamiar rozwijać interes.

- Mądrze myśli! - pochwaliłam Iwonkę.

- Dziewczyna ze smykałką do interesów. Marcin też ciągle coś kombinuje, handluje na Allegro. I całkiem nieźle na tym wychodzi, bo już pół świata zwiedził za te pieniądze! A ty wiesz...

- zamyśliłam się nagle. - A może by ich tak ze sobą poznać?

- Kogo?

- No, twoją Iwonkę i mojego Marcina. Kto wie, może by sobie przypadli do gustu?

- Niezły pomysł! - zapaliła się Kryśka.

I tak niczego nieświadomy Marcin siedział w Berlinie, Iwonka pomagała matce w gospodarstwie, Adam jeździł konno, a my z Kryśką snułyśmy swoją intrygę.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli Iwonka przyjedzie z wizytą do Warszawy.

Pochodzi po

teatrach, muzeach... Myślisz, że da się na to namówić? - spytałam przyjaciółkę.

- Już moja w tym głowa, żeby pojechała. Umiem ją podejść - zapewniła mnie.
- No to kiedy tylko zechce. Zresztą obie was przecież serdecznie zapraszam!
- Ja się tam nie będę pchała, bo pod okiem matki żaden romans nie wykwitnie - zamachała w proteście rękami. - Jeszcze się do ciebie naprzyj eźdżam, gdy nasz plan wypali. A widzę, że jest szansa, jeśli Marcin odziedziczył wygląd po ojcu. Takiego przystojniaka, jakiego dorwałaś, to ze świecą szukać!

Nie mogłam zaprzeczyć. Adam istotnie był przystojny i zdecydowanie nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt trzy lata. A kiedy wsiadł na konia i wyprostował się w siodle, to przysięgam, że zakochałam się w nim od nowa. Na zabój!

Nawiasem mówiąc, na punkcie tych koni mój mąż kompletnie oszalał. Pół dnia spędzał w stajni albo w siodle. Czasami nawet i noce, bo z Iwonką i kilkoma letnikami urządzali sobie wycieczki w świetle księżycy.

Z jednej z nich wrócił rozmarzony.

- Nawet nie masz pojęcia, jak cudownie jest wykąpać się z koniem w jeziorze... - powiedział. - Cisza, tylko czasami zerwie się z piskiem jakiś zbudzony ptak. I ten sierp księżyca zatopiony w wodzie...

- Kapaliście się? - spytałam zdziwiona, ponieważ Adam był zupełnie suchy. - Miałaś ze sobą kąpielówki?

A on się na to tylko roześmiał. Poczzerwieniałam gwałtownie, bo zdałam sobie sprawę, że musieli pływać nago!

- Kochanie, tam było ciemno. To nie miasto, gdzie nigdy nie gasną światła - zapewnił mnie.

„Pewnie miał rację. Zresztą, Adam zawsze był taki pruderyjny, nigdy by się tak po prostu przy obcych nie obnażył” - pomyślałam.

Następnego dnia wybraliśmy się na wycieczkę do Wilna, gdzie spędziliśmy bardzo miły i romantyczny dzień.

Wkrótce, żegnani czule przez Kryskę i obładowani różnymi specjami domowej roboty, wracaliśmy do stolicy.

Zanim wsiadłam do auta, wymieniliśmy z przyjaciółką porozumiewawcze spojrzenia na znak, że pamiętamy o naszym tajnym planie i na pewno go zrealizujemy.

Już po kilku dniach dostałam od niej informację, że Iwonka bardzo chętnie wybierze się do Warszawy na zwiedzanie i zakupy. Wyznaczyłyśmy więc sobie termin za dwa tygodnie, kiedy mój Marcin będzie już w domu.

Adam na wieść, że przyjeżdża do nas w odwiedziny córka mojej przyjaciółki, nawet się specjalnie nie zdziwił, a już na pewno nie oponował. Nie zamierzałam go wtajemniczać w szczegóły intrygi, postanawiając wszystko zostawić w rękach losu i młodych.

Marcinowi od razu wyraźnie Iwonka przypadła go gustu, bo bardzo chętnie się nią zajął. Nie zawsze jednak mógł jej towarzyszyć, gdyż - jak się okazało - od razu podjął pracę w filii jakiejś niemieckiej firmy z Berlina.

Nie wyglądało jednak na to, aby Iwonka się nudziła. Czasami ja towarzyszyłam jej podczas zakupów w sklepach, czasem gdzieś zabierał

ją Adam. Dwa tygodnie minęły niezwykle szybko i nadszedł czas wyjazdu. Nie miałam pewności, czy Iwonka i Marcin będą sami kontynuowali swoją znajomość, ale chyba wymienili się numerami komórek i adresami mailowymi. Byłam więc dobrej myśli.

Kilka dni później Kryśka dała znać, że jej córka wróciła dziwnie melancholijna i zamiast pomagać z ochotą w gospodarstwie, tak jak zwykle, często zamyka się na długie godziny w swoim pokoju albo wychodzi na spacer.

- Moim zdaniem jest zakochana! - zawyrokowała moja przyjaciółka. - Ona jest taka sama jak ja. Pamiętam, że z miłości też nie mogłam jeść ani spać...

Po Marcinie wprawdzie nie było widać żadnego zakochania, wiadomo jednak, że chłopcy reagują zupełnie inaczej.

Bomba wybuchła gdzieś po miesiącu, kiedy to z samego rana zadzwoniła do mnie Krystyna, cała roztrzęsiona.

- No i postarał się ten twój chłopaczyna. Iwonka jest w ciąży! - zakomunikowała mi.

- To chyba dobrze? - wykrzyknęłam, choć lekko zważyło mnie z nóg. - W końcu tego właśnie chcieliśmy. A że tak wcześnie doczekaliśmy się wspólnego wnusia, to i lepiej...

- Może i tak - Kryśka powoli się uspokajała. - Sęk w tym, że nie ma mowy o ślubie. Ona nie chce wychodzić za męża! Czy... twój syn ją odtrącił? Pokłócili się może?

- Nie mam pojęcia, ale nie martw się, już ja mu powiem do słuchu! - teraz ja się zdenerwowałam. - Miał przyjemność, to musi ponieść konsekwencje! Zresztą, gdzie on znajdzie drugą taką fantastyczną dziewczynę jak Iwonka? Wkrótce się jej oświadczy!

Jednak Marcin napadnięty przeze mnie w sprawie ciąży zrobił tylko wielkie oczy.

- Ja? Przecież jej nawet nie dotknąłem!

- Nie kłam! Widziałam, jak się całowaliście!

- My? Całowaliśmy? - był zdumiony.

- No... w policzek - uściśliłam, a on wyraźnie się odprężył.

- Od tego się jeszcze w ciążę nie zachodzi, mamó - stwierdził pobłaźliwie.

- To z kim ona będzie miała to dziecko? - wykrzyknęłam zdezorientowana.

- Nie wiem, ale... Coś mi się zdaje, że powinnaś porozmawiać z tatą... - powiedział, odwracając wzrok.

W pierwszej chwili kompletnie nie załapałam, co Adam może wiedzieć o ciąży Iwonki. Jednak chwilę potem, gdy po raz pierwszy zaświtała mi w głowie ta straszna myśl, odsunęłam ją od siebie jak najdalej. I ze strachu, co mogłabym usłyszeć, wcale nie porozmawiałam z mężem.

Pewnego wieczoru on sam zaczął:

- Muszę ci coś powiedzieć - wyrzucił z siebie dość spięty.

- Tylko mi nie mów, że spałeś z Iwonką i jesteś ojcem jej dziecka - odpowiedziałam natychmiast, chichocząc nerwowo.

- To ty już wiesz? - jego zdziwienie powiedziało mi wszystko!

- Cholerny draniu! - rzuciłam się na niego z pięściami. - To tak wyglądały wasze kąpiele przy księżycu?! Powinnam się tego domyślić, ty obleśny satyrze!

- Uleńka, daj sobie wszystko wytłumaczyć, proszę! - zaczął.

- A co tutaj jest do tłumaczenia? - nagle ochłonełam. - Zobaczyłeś młodą chętną dupę, to skorzystałeś! I tylko mi nie mów o waszej wielkiej miłości i porozumieniu dusz, bo tego już nie zniosę. Najlepiej nic nie mów... Boże, jak ja cię nienawidzę...

- Dasz mi rozwód? - zapytał na to mój ukochany mąż z nadzieją. Krew uderzyła mi do głowy. Opanowałam jednak chęć, by mu przyłożyć.

- Oczywiście - wycedziłam wolno. - Zostawisz mi mieszkanie, samochód i możesz się wyprowadzić choćby zaraz. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia! „I na co nam było to odnawianie przysięgi przed Ostrobramską Panią, skoro on już wtedy myślał tylko o Iwonie?” - pomyślałam z goryczą.

Kiedy Kryśka dowiedziała się, jaki numer wywinęła jej córka z moim mężem, zamilkła na dobre parę minut.

- Nigdy bym się tego po niej nie spodziewała! - wykrzyknęła w końcu. - Niech sobie nie wyobraża, że będzie tu nadal mieszkać!

- Przestań, Krysiu - powiedziałam, cudem zachowując spokój. - Wystarczy, że ja nie mam już rodziny, sobie jej nie rozwalaj. Nie wyrzucisz w końcu rodzzonego dziecka i wnuka. Za to teraz zyskasz całkiem miłego i przystojnego zięcia.

- Tak mi przykro... - powiedziała tylko.

- Mnie też. Nie wyszło nam na dobre nasze knucie. Ależ miałyśmy pomysł! Adam po rozwodzie sprzedał swoją ukochaną działkę pod Warszawą i wszystkie pieniądze zainwestował w rozwój gospodarstwa Krystyny. A raczej swojego i Iwonki, bo przecież córka wkrótce przejmie interes po matce. Zrezygnował oczywiście z posady ordynatora w stolicy. Teraz pracuje na pół etatu w lokalnym szpitalu, do którego musi dojeżdżać przeszło czterdzieści kilometrów. Podobno przebąkuje o zaniechaniu praktyki i zajęciu się dzieckiem i domem. Słyszałam, że urodziła im się śliczna córeczka. Trochę zazdroszczę Krystynie, że została

babcią, ale może i mnie się niedługo poszczęści? Marcin zaręczył się z sympatyczną dziewczyną ze swojej firmy i chyba oboje myślą poważnie o stworzeniu rodziny.

Moje kontakty ze starą przyjaciółką ostatnio się rozluźniły, bo niby o czym tutaj gadać? Ona jak ognia unika tematu wnuczki i Adama, żeby mnie tylko nie urazić. Nie zostało nam więc za wiele wspólnych tematów. Pewnie wkrótce w ogóle przestaniemy się do siebie odzywać, a ja będę wiedziała o byłym mężu tylko tyle, co mi powie nasz dorosły syn.

I dobrze! Nie jestem ciekawa. Zresztą ciągle czuję się na tyle młoda, że chyba i ja zacznę nowe życie. Pora zadbać o siebie.

Jeszcze nie pora

Awieć Warszawa. Przeprowadzka do stolicy z jednej strony wydawała mi się kusząca, z drugiej obawiałam się tego kroku. Przez całe życie mieszkałam przecież z rodzicami, w dodatku w niewielkiej miejscowości, więc bałam się nowego. Nie miałam jednak wyjścia. Praca, jaką mi zaproponowano w stolicy, gwarantowała możliwość rozwoju, a jednocześnie była atrakcyjna finansowo. W rodzinnym miasteczku czekała mnie kariera bezrobotnej.

Na dworzec PKS odprowadził mnie narzeczony. Niestety Waldek nie mógł pojechać ze

mną do Warszawy, więc włożył tylko bagaże do luku, pocałował mnie na pożegnanie i - zanim się obejrzałam - otworzył się nowy rozdział mojego życia. Przez pierwsze dni miałam zatrzymać się u kuzynów, by spokojnie poszukać jakiegoś samodzielnego lokum. Zaczęłam od razu następnego dnia - rano kupiłam gazetę i wybrałam kilka ogłoszeń o pokojach do wynajęcia. Gdy zadzwoniłam, większość ofert była już nieaktualna, ale udało mi się umówić na obejrzenie trzech pokoi.

Mieszkanie Aliny było pierwszym, do którego trafiłam. W drzwiach czekała na mnie wysoka, szczupła brunetka, bardzo ładna, ubrana w koszulkę zasłaniającą ledwie połowę brzucha i krótkie szorty. Sama byłam osobą raczej wstydliwą, więc piękne, wyzwolone dziewczyny trochę mnie peszyły.

- Cześć - przywitała mnie. - Przyszłaś obejrzeć pokój, tak? Jestem Alina.

Ona również pracowała w sektorze bankowym i chyba właśnie to przesądziło, że zdecydo-

wałam się na jej ofertę. Drugim powodem była kuzynka... Od dnia mojego przyjazdu patrzyła na mnie spode łba, jakby nie mogła się doczekać, kiedy opuszczę jej mieszkanie.

Z Aliną, wbrew moim początkowym obawom, szybko nawiązałam dobry kontakt. Okazało się, że obie lubimy stare filmy i spacerować, więc nigdy nie nudziłyśmy się w swoim towarzystwie. Alina była osobą przyjazną i otwartą. Może czasami nawet zbyt otwartą... Bez oporów opowiadała mi o swoim życiu uczuciowym i intymnym, co czasami mnie krępowało.

- Teraz wreszcie wiem, czego chcę - powiedziała moja współlokatorka, gdy pewnego wieczoru siedziałyśmy razem w kuchni przy butelce czerwonego wina.

- Nie zwiążę się z żadnym mężczyzną, dopóki nie będę pewna, że się kochamy. Dotychczasowe rozczarowania zbyt wiele mnie kosztowały.

A po chwili milczenia dodała:

- Tobie to dobrze, jesteś szczęśliwie zakochana. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mój związek z Waldkiem nie był wcale taki udany, jak mi

się kiedyś wydawało. Może zresztą nigdy taki nie był? Słuchając opowieści Aliny o jej przygodach z facetami, poczułam, że i ja mam ochotę spróbować w życiu czegoś nowego, bardziej ekscytującego. Poza tym Waldek nie wyobrażał sobie życia w Warszawie, a ja z każdym dniem zakochiwałam się coraz bardziej w stołecznym mieście... Alina od wielu miesięcy była sama i twierdziła, że dobrze jej z tym. Czy ja również mogłabym czuć się dobrze, nie będąc w związku, rozmyślałam teraz.

Rozumowanie moich rodziców, że osoba samotna musi być bardzo nieszczęśliwa, jak widać, nie sprawdzało się w Warszawie.

Tak upłynęły trzy miesiące. Co wieczór rozmawiałam z Waldkiem, lecz z każdym dniem rozmowy te coraz bardziej mnie męczyły. Mój chłopak chciał, żebym w każdy weekend przyjeżdżała do domu, sam zaś niechętnie wybierał się do Warszawy. Twierdził, że miasto go męczy i denerwuje. Ze mną było podobnie, ale tylko na początku. Waldek nawet nie próbował polubić stolicy.

- Nie rozumiem, co ci się tutaj podoba! - spytał kiedyś rozdrażniony. - Tłok, smród i hałas. Nie wyobrażam sobie, jak w takich warunkach można wychowywać dzieci!

Pomyślałam, że ja z kolei nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieć dzieci... z nim. Jeśli zdarzało mi się zatęsknić za rodziną, za własnym domem, nigdy w moich marzeniach nie było Waldka. Coraz częściej zastanawiałam się, czy w ogóle go kocham, czy może jestem z nim z lęku przed samotnością.

Życie w Warszawie układało mi się lepiej z każdym dniem. Alina zainteresowała mnie sztuką, razem chodziłyśmy do teatru, do kina, na wystawy. Muszę powiedzieć, że podziwiałam tę silną, samodzielnie myślącą kobietę. Robiła to, na co miała ochotę, nie oglądając się na innych. Zaczęłam sobie zdawać sprawę, że ja często postępowałam zgodnie z tym, czego wymagali ode mnie rodzice.

Coraz mniej ciągnęło mnie do rodzinnego domu. Poza tym po tygodniu ciężkiej pracy nie zawsze miałam siły na podróż.

Kiedy w któryś piątek uprzedziłam mamę, że nie przyjadę, śmiertelnie się na mnie obraziła. Jakby praca w stolicy była tylko moją fanaberią, a prawdziwe życie toczyło się tam, w miasteczku!

- Jesteś dorosła i masz prawo robić to, co uważasz za słuszne - powiedziała Alina, gdy się jej zwierzyłam. - A twoja rodzina musi ten stan rzeczy zaakceptować. Rzeczywiście z czasem mama pogodziła się z tym, że nie wszystkie weekendy spędzam w domu. Gorzej przyjął tę zmianę Waldek. Przyjechał w kolejną sobotę i niemal od progu zaczął mnie strofować:

- Baśka, ja ciebie nie poznaję! Zapominasz, skąd jesteś, czy co? Ja i twoi rodzice w ogóle się już dla ciebie nie liczymy!

- A co ze mną? - zaprotestowałam. - Może ja mam inne potrzeby?

Waldek coś odburknął, a potem zaciągnął mnie do łóżka. Dla mojego chłopaka seks był lekarstwem na wszystkie problemy. Tym razem jednak niczego nie uleczył - cały weekend był nieudany. Waldek miał ochotę na komedie

romantyczne, ja na klasykę w teatrze, on chciał spacerować po Starówce, ja wolałam wernisaż w galerii. Najgorszy okazał się jednak wieczór w domu, gdy tłumione przez cały dzień emocje dały o sobie znać.

- Od kiedy to jesteś tak bardzo zafascynowana Szekspirem i sztuką nowoczesną?!

- złościł się Waldek. - Przecież te rzeźby niczego nie przypominały! Sam bym lepsze zrobił w pół godziny.

- A wiesz, na początku też tak myślałam, ale Alina wszystko mi wyjaśniła... - zaczęłam, jednak on gwałtownie mi przerwał.

- Alina i Alina! Przez cały dzień o niej gadasz! Uważam, że ta dziewczucha ma na ciebie zły wpływ - powiedział.

- Ona pozwoliła mi zrozumieć siebie - odparłam z naciskiem. - Dlaczego nie chcesz, żebym się rozwijała, zmieniała, poznawała świat?'

Nawet nie zauważyłam, kiedy wymiana argumentów zamieniła się w otwartą kłótnię. Noc spędziliśmy odwróceniem do siebie plecami.

Rano próbowałam załagodzić sytuację, ale Waldek był wciąż naburmuszony.

- Nie wiem, co się dzieje, Basiu - przyznał, wsiadając do powrotnego autobusu. - Czy ty jeszcze mnie kochasz?

Czułam, że do oczu napływają mi łzy. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć i z ulgą przyjął fakt, że spóźniony autobus odjechał niemal natychmiast.

Mój związek z Waldkiem trwał tak długo, że z trudnością przypomiinałam sobie, jak to wszystko się zaczęło. Po prostu nasze mamy były najlepszymi przyjaciółkami, więc i my się zaprzyjaźniliśmy, a potem zostaliśmy parą... Czy dziś łączyło nas jednak coś więcej niż sympatia i przyzwyczajenie? Przecież żadne z nas nigdy nie było z nikim innym!

Następnego dnia zadzwoniłam do Waldka i prosto z mostu powiedziałam mu o wszystkich swoich wątpliwościach. Zdecydowałam też, że dopóki nie będę pewna swoich uczuć, nie będę robić żadnych poważnych planów.

- Gdybym za ciebie teraz wyszła, tylko bym cię skrzywdziła - mówiłam, przelękając łzy. Miesiąc później zadzwoniła mama.

- Waldek ma nową dziewczynę - oznajmiła mściwym tonem. - Doigrałaś się!
Ale ja tylko się uśmiechnęłam. Waldek to naprawdę wspaniały mężczyzna i życzę mu wszystkiego dobrego. My po prostu nie byliśmy sobie pisani. A to, że znalazł sobie nową dziewczynę, było mi właściwie na rękę. Przynajmniej nie musiałam mieć wyrzutów sumienia, że go skrzywdziłam.

Dobrze mi samej. W pracy dostałam podwyżkę, pojawiła się szansa na awans. Mam nowych znajomych i siebie też poznaję lepiej z każdym dniem. Moje życie należy wreszcie do mnie.

A miłość? Myślę, że z każdą chwilą jestem na nią coraz bardziej gotowa. Jedno wiem na sto procent: nie zwiążę się z mężczyzną, dopóki nie będę pewna, że to ten jedyny. Inaczej skrzywdzę zarówno siebie, jak i jego.

Narzeczony dla naiwnej ślicznotki

Było gorące lato, rok temu. Biwakowaliśmy na małym prywatnym kempingu nad mazurskim jeziorem. Janusz miał znajomego, który udostępnił mu tam swoją komfortowo wyposażoną przyczepę kempingową. Nie lubiłam wody ani żagli, ale dla Janusza gotowa byłam zrobić wszystko. Nawet spać pod namiotem, czego nie znosiłam najbardziej na świecie. Na szczęście teraz nie musiałam. Janusz był moją pierwszą wielką miłością. Poznaliśmy się wiosną na dużej imprezie targo-

wej. On był jednym z przedsiębiorców, którzy wystawiali tam swoje towary, a ja pracowałam jako hostessa. Często dorabiałam sobie do niewielkiego kieszonkowego, które dawali mi rodzice. Oprócz mnie mieli na utrzymaniu moich dwóch młodszych braci, więc nie mogłam liczyć z ich strony na jakieś wielkie pieniądze.

Dużo pomagała mi ciotka i zarazem matka chrzestna. Co miesiąc odpalała mi trochę grosza. Starczało na opłacenie pokoiku w Krakowie, resztę miałam dla siebie. A wiadomo, że każda dziewczyna chce się ładnie ubrać. Dorabiałam więc, gdzie się dało. Czasem pomagałam robić inwentaryzacje w marketach, ale najbardziej lubiłam imprezy, na których można się było pokazać.

Chętnie korzystałam z tego, że natura obdarzyła mnie urodą. Wiele osób mówiło mi:

- Karola, powinnaś startować w wyborach miss, masz duże szanse.

Może i tak bym zrobiła, gdybym była bardziej przebojowa. Ja jednak należę do osób nieśmiałych i zamkniętych w sobie. A w dodatku pochodzę z małej miejscowości, a to nie dodaje pewności siebie.

Zanim zaczęłam naukę w szkole pomaturalnej, naprawdę nie znałam życia. Owszem, chodziłam z kilkoma chłopakami, ale z żadnym nie spałam, w przeciwieństwie do wielu moich koleżanek. Przyczyna była jedna: ojciec krótko mnie trzymał. Nawet z osiemnastek musiałam wracać o określonej porze, a z większości po prostu mnie odbierał.

- Dopóki jesteś na moim utrzymaniu, nie dopuszczę, żebyś chodziła z brzuchem - powtarzał do znużenia.

Miał trochę racji, bo w moim miasteczku w ostatnich latach kilka dziewczyn zakończyło karierę na urodzeniu nieślubnego dziecka. Czasem zdarzał się szybki ślub na siłę.

Z jednej strony jestem więc wdzięczna mojemu ojcu, z drugiej jednak pamiętam czasy, gdy czułam się gorsza od koleżanek, bardziej naiwna. Musiałam im nawet trochę pościemniać, że spałam już z chłopakiem, żeby dały mi spokój.

Wyobrażałam sobie jednak, że mój pierwszy raz

zdarzy się z prawdziwej wielkiej miłości, a nie przypadkowo i byle jak. I cały czas czekałam na tę miłość, aż wreszcie ją znalazłam. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Czy przez trzy dni można się zakochać? Mnie się przytrafiło właśnie coś takiego. Janusz, mężczyzna o siedem lat starszy ode mnie, był spełnieniem moich marzeń. Zapraszał mnie do restauracji, obsypywał komplementami, przynosił kwiaty. Kompletnie straciłam dla niego głowę.

Spotkałam kogoś, kto mnie adorował, spełniał zachcianki, dawał do zrozumienia, że mnie kocha, choć nie mówił o tym wprost. Wyznał mi miłość dopiero w lipcową noc, na jachcie, podczas tego gorącego lata na Mazurach. I bardzo się wówczas zdziwił, że wciąż jestem dziewicą, bo chociaż mu wcześniej mówiłam, nie uwierzył.

Nie będę kryć, ta noc spełniła moje oczekiwania. Było właśnie tak, jak miało być: czule i romantycznie. Żaglówka kołysała się delikatnie na falach jeziora, a ja - w ramionach Janusza.

Natychmiast wyobraziłam sobie oczywiście miłość do grobowej deski, a najpierw białą suk-

nię, ślub i wielkie wesele. Przecież było nam ze sobą jak w bajce... Przez ten wspólny tydzień kochaliśmy się, opalaliśmy, pływaliliśmy żaglówką, nawet kąpaliśmy się nago w blasku księżyca. Wszystko wskazywało na to, że mazurskie spotkanie będzie miało ciąg dalszy. Już się zastanawiałam, co powiem ojcu, przecież oficjalnie byłam u koleżanki na Mazurach. A ja miałam już dość kłamstw. Skoro mamy być razem, rodzice prędzej czy później muszą się o tym dowiedzieć! Lepiej, by się dowiedzieli ode mnie niż od ludzi.

Pod koniec naszego pobytu nad jeziorem zadałam więc Januszowi rzeczowe pytanie:

- Kiedy do mnie przyjedziesz? Chciałabym cię przedstawić rodzicom.

I wtedy przeżyłam szok.

- Kotku, to jakieś nieporozumienie - ze spokojem odparł mój książę z bajki. - Żadnego ślubu nie planuję. Nawet nie wiem, jak długo będziemy razem. Na razie w ogóle nie chcę się żenić. Jest mi dobrze tak, jak jest. Zawsze się jakaś znajdzie, żeby się zabawić. Jesteś tego najlepszym dowodem.

Zamarłam. Po chwili zaczęłam płakać. A więc to koniec naszej romantycznej miłości? Naszych marzeń i planów? Dlaczego?! Przecież wszystko się tak pięknie zapowiadało... Te wspólne kolacje podczas targów, potem czułe randki, teraz wyjazd na Mazury... I po co mówił, że mnie kocha?!

Przez łzy, które zalewały mi oczy, niewiele widziałam. Trzęsącymi się rękami zbierałam moje rzeczy niemal po omacku i pragnęłam tylko jednego: uciec stąd jak najszybciej.

Najgorsze było to, że Janusz wcale mnie nie zatrzymywał. Miałam jeszcze nadzieję, że jednak będzie prosił, bym została. Gdyby powiedział choć jedno słowo, obiecał, że się zastanowi... Nic z tego!

Wracałam stopem, bo nawet nie miałam kasy na bilet. Uginając się pod ciężarem torby podróżnej, z trudem dotarłam do szosy, a po kolejnych stu metrach do stacji benzynowej. Akurat wyjeżdżały trzy TIR-y. Za kierownicą jednego z nich siedział młody chłopak o pięknym uśmiechu. Zamachałam.

- Jedzie pan w kierunku Krakowa? - spytałam, ale żeby sytuacja była jasna i by nie wyciągnął jakichś pochopnych wniosków, dorzuciłam pośpiesznie: - Nie jestem żadną tirówką. Chcę się po prostu dostać do domu, a nie mam za co. Miałam wielkie szczęście. Tomek podwiózł mnie do mojej rodzinnej miejscowości, choć musiał trochę zboczyć z trasy. Po kilku godzinach jazdy byliśmy już zaprzyjaźnieni.

Widziałam, że mu się podobam. Ja jednak od razu się najeżyłam: żadnych bliższych znajomości! Nie po tym, co przeszłam!

Co innego zwierzenia. Potrzebowałam się wygadać, więc Tomek powoli wyciągnął ze mnie wszystko. Nie przytoczę już, jak skomentował postępowanie Janusza, ponieważ to się nie nadaje do druku. Kiedy jednak pomagał mi wysiąść, kiedy podjechaliśmy już pod mój dom, zapowiedział:

- Dziewczyno, rozumiem, że mi nie wierzysz, bo teraz nie uwierzysz żadnemu facetowi, ale ja nie odpuszczę. Będę tak długo przyjeżdżał, aż mi zaufasz.

Wcale nie potraktowałam tego poważnie. Okazało się jednak, że Tomek - tak! Po wakacjach odwiedzał mnie, kiedy tylko mógł. Spotykaliśmy się głównie na neutralnym gruncie, w Krakowie, gdzie się uczyłam. Jak przyjaciele. Bo powiedziałam sobie, że najpierw muszę skończyć szkołę i zdobyć zawód. Obiecałam to zresztą ojcu.

Długo nie mogłam zapomnieć tej pierwszej wielkiej miłości, która okazała się równie wielką pomyłką. Tomek nie miał mi tego za złe.

- Karusiu, ja wszystko rozumiem - oznajmił. - Naprawdę zależy mi na tobie. Poczekam, jak długo będzie trzeba.

Wzruszył mnie najbardziej, gdy martwiłam się, czy nie zaszłam w ciążę.

- Ja bym cię wziął i z brzuchem, i z cudzym dzieckiem - powiedział z żarem.

Wtedy obróciłam wszystko w żart.

Z czasem pokochałam Tomka. Żałuję tylko jednego - że ofiarowałam swoje dziewictwo niewłaściwemu człowiekowi. Okazałam się zbyt naiwna i dałam mu się uwieść.

Tomek to zupełnie co innego. Dzięki niemu poznałam smak miłości, tej prawdziwej, a nie takiej wydumanej. Teraz tylko czekam, aż mi się oświadczy. Chyba niedługo...

Ojcowie moich bliźniaków

Boże, jacy oni obaj są cudni! A ten rudawy to wygląda zupełnie jak wuj Edward, świeć Panie nad jego duszą! - ciocia Mania, która przyszła do mnie z wizytą, zachwycała się bliźniakami. - Są dwujajowi, tak? Czego to natura nie wymyśli! Gdybym nie wiedziała, że to rodzeni bracia, nigdy bym nie pomyślała, że mają tych samych rodziców!

„Albo przynajmniej ojców - przemknęło mi przez głowę. - Ale to przecież niemożliwe! Są bliźniakami!”.

W przeszłości sama wiele razy przyglądałam się moim synkom, prawie nie wierząc w to, co widzę. Aleksander od urodzenia miał jasne włoski i pociągłą buzię, zupełnie jak mój mąż, kiedy był dzieckiem. A do tego lodowatobłękitne oczy Pawła. Gdy porównywałam zdjęcia dwuletniego męża z fotografiami Olka, to przysięgam, że mogłabym się pomylić, który z nich jest który!

Natomiast czupryna Maksa lśniła miedzianym blaskiem, a oczy miał głębokie i ciepłe jak spadziowy miód. Może faktycznie przeważały w tym dziecku geny mojej rodziny? Wuj Edward, brat cioci Mani i w pierwszej linii kuzyn mojej mamy, był przecież postawnym rudzielcem w typie dawnych Wikingów. I całkiem by mnie takie wyjaśnienie uspokoiło, gdyby nie to, że równie dobrze w Maksie można się było doszukać cech Artura, mojego byłego kochanka!

W każdym małżeństwie przychodzi kiedyś taki moment, że wkrada się w nie rutyna. Kochałam Pawła, nadal go zresztą bardzo kocham, ale... Siedem lat po ślubie poczułam, że czegoś w naszym związku zaczyna mi brakować.

Spontaniczności? Czegoś więcej niż tylko zdawkowej czułości?

Nie jestem szaloną romantyczką. Wcale nie myślę, że miłość polega na trzymaniu się za ręce i bieganiu bosu po zroszonej trawie. Jednak między nami coś się zmieniło. Nasza córka Ania miała już pięć lat i od dawna przesypiała całe noce; nie była też absorbująca, bo potrafiła się sama zająć zabawą. Tymczasem my z Pawłem pozostaliśmy oddaleni od siebie jak w pierwszych miesiącach jej życia. Przyjęliśmy na siebie role matki i ojca, a zagubiliśmy gdzieś namiętność. I nie potrafiliśmy do niej wrócić.

Brakowało mi tych pocałunków kradzionych w parku, w supermarkecie, na ulicy, spontanicznego seksu w różnych dziwnych miejscach. W łóżku z Pawłem zaczęłam się czuć jak stateczna matrona. Kochaliśmy się tylko w klasycznych pozycjach, a zaraz potem mój szanowny mąż zasypiał.

- Co chcesz? Jestem przecież zmęczony pracą - tłumaczył się, gdy mu wyrzucałam, że trochę za mało się stara.

Każde nasze zbliżenie trwało zaledwie kilka minut. A gdzie gra wstępna? Gdzie jego dbałość o to, żebym i ja przeżyła spełnienie?

Jednak on nie miał sobie nic do zarzucenia.

- To już koniec bezkarnych figli. Pomyślałaś, co by się stało, gdyby do sypialni weszła Ania?

- pytał z zaskakującą pruderią.

„I dlatego mamy do końca życia robić to pod kołdrą, przy zgaszonym świetle i w jednej określonej pozycji? - denerwowałam się w duchu.

- Najwyraźniej tak".

Dlatego gdy na moim horyzoncie pojawił się Artur, wpadłam w ten romans tak, jakbym nagle z dusznego pomieszczenia weszła pod orzeźwiający prysznic.

Poznaliśmy się zupełnie przypadkowo. Pewnego dnia zepsuła mi się pralka - zaczął się zacinać programator. Ponieważ Paweł pracował do późna, to ja zgłosiłam się do serwisu i umówiłam wizytę mechanika.

Miał przyjechać między trzecią a piątą. Tymczasem zrobiło się już po szóstej, a mechanika ani śladu! Zdążyłam się nieźle wkurzyć, kiedy

się w końcu pojawił. Trochę mi przeszło na jego widok: był rudy i postawny, wyglądał jak wielki dobrotliwy niedźwiedź.

- Przepraszam, miałem kłopot z samochodem - oznajmił mi od progu. -

Próbowałem się do pani dodzwonić i uprzedzić o spóźnieniu, ale w serwisie chyba pomylili numer na zleceniu, ponieważ odebrał jakiś mężczyzna, który nawet nie ma w domu pralki! - roześmiał się beztrąsko.

- Tak? Proszę mi pokazać to zlecenie - byłem pewna, że zmyśla!

Owszem, pokazał, nadal z ognikami rozbawienia w oczach.

- Rzeczywiście. Zamiast ósemki jest szóstka - przyznałam mu rację.

- Tak myślałem.

Szybko poprawił numer - nie wiadomo po co, bo przecież już do mnie dotarł - i zabrał się do naprawiania pralki.

Pół godziny później było po wszystkim. Mechanik elegancko posprzątał bałagan po sobie i wyszedł z łazienki.

- Ile jestem winna? - spytałam.

- Nic. Pralka jest jeszcze na gwarancji, a ten programator musiał być uszkodzony fabrycznie. Wymieniłem go i wszystko powinno działać idealnie - odpowiedział ze spokojem, przyglądając mi się tak, że poczułam się nagle... kompletnie naga.

I nie było to wcale niemiłe uczucie!

- Może napije się pan herbaty? - usłyszałam nagle swój własny głos.

- Nie, dziękuję. Mam jeszcze jedno zlecenie i przez to nieszczęsne auto dwie godziny opóźnienia - stwierdził poważnie. - Ale gdyby pani miała kiedyś ochotę na kawę...

Poczułam, że płoną mi policzki. On mnie najwyraźniej podrywał! Czyżby nie widział obrączki na mojej dłoni i małej Ani płaczącej się między nogami?

Oczywiście że wszystko widział, a mimo to proponował mi spotkanie.

- Ja... ja mam obowiązki - wykrztusiłam.

- Widzę. Mimo wszystko czasami ma pani przecież wolne? - zapytał spokojnie.

- Czasami... No, nie wiem.

I co ja wyprawiam? Daję szansę zupełnie obcemu facetowi?!

W tym momencie rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Wrócił Paweł, wybawiając mnie z kłopotliwej sytuacji. Tylko że zamiast odetchnąć z ulgą, poczułam, jakby mąż zabrał mi właśnie jakąś atrakcyjną zabawkę.

Mechanik musiał zauważyć moje rozczarowanie, bo cień uśmiechu przemknął mu po twarzy.

- Zadzwoń - szepnął bezgłośnie, gdy mijał mnie w drzwiach.

„To dlatego poprawił sobie mój numer. Musiałam mu się od razu spodobać” - pomyślałam i w tej samej chwili przeraziłam się nie na żarty.

Miałam dobrego męża i śliczną córkę. Po co pakować się w romans z... - spojrzałam na pieczętkę na potwierdzeniu wykonania usługi - jakimś Arturem? Z tego mogą być tylko kłopoty.

W nocy miałam erotyczny sen z rudowłosym olbrzymem w roli głównej.

Kochałam się z nim na wirującej pralce. Wibrowanie automatu przenikało mnie na wskroś. I nie tylko ono...

Obudziłam się podniecona jak nigdy, spocona, z nabrzmiętymi sutkami!

Następnego dnia nie byłam w stanie zebrać myśli - wciąż pojawiał mi się przed oczami Artur. I cały czas obsesyjnie sięgałam po komórkę, żeby sprawdzić, czy oby się przypadkiem nie wyłądownała.

„Dlaczego nie dzwoni? - denerwowałam się. - Pewnie facet jest seryjnym podrywaczem i obiecuje kawę każdej gospodyni domowej, która wygląda na znudzoną małżeństwem”.

Koło drugiej po południu przysięgałam sobie już, że nawet jeśli zadzwoni, odprawię go lodowatym tonem przykładowej mężatki.

Kiedy kwadrans po trzeciej moja komórka zadzwoniła, podekscytowana jak nastolatka zerwałam się krzesła, by po nią sięgnąć.

- Tu Artur. Czy możemy się spotkać? - zapytał głosem, od którego od razu zrobiło mi się miękko w kolanach.

- Hmm - chrząknęłam, żeby się opanować i stosownie go odprawić. Tylko że nic mi z tego nie wyszło.

- Gdzie? - spytałam drżącym głosem.

- Dzisiaj, za pół godziny.

I podał nazwę kawiarni w centrum.

- Będę za godzinę - rzuciłam gorączkowo i rozłączyłam się.

- Pawełku, muszę zostać trochę dłużej w biurze. Odbierzesz Anię z przedszkola? - po chwili usłyszałam swój głos, beztrosko szczebioczący przez telefon do męża. - Gdybym nie wróciła przed szóstą, to gołąbki są w lodówce. Odgrzej sobie i małej na kolację.

I ja to powiedziałam? Niemożliwe! A jednak. Szłam na spotkanie z Arturem, wiedząc już, że mu się nie oprę.

On to musiał od razu wyczuć, bo nie było nawet mowy o żadnej kawie. Od razu wziął mnie za rękę i poprowadził do swojego auta. A dwadzieścia minut później rozbieraliśmy się już jak szaleni w jego mieszkaniu.

Takiego seksu nie przeżyłam chyba nigdy. Artur był ucieleśnieniem idealnego kochanka. Wysoki i postawny, górował nade mną podniecająco. W jego ramionach czułam się zniewolo-

na i bezbronna. A jednocześnie jego wielkie ręce były tak zaskakująco delikatne! Po tym spotkaniu, i po każdym następnym, czułam się wypieszczona i wymasowana.

Dzięki kochankowi moja skóra stała się gładsza, a oczy nabrały blasku.

- Kochanie, ty piękniejesz w oczach - zauważył nawet Paweł.

Na szczęście niczego nie podejrzewał. Nie skojarzył tego z moimi „nadgodzinami” w biurze, które zdarzały się teraz raz, a nawet dwa razy w tygodniu.

Mijały miesiące. Artur pozostawał niezmordowany i pełen pomysłów. Lubiłam jego towarzystwo, chociaż dobrze wiedziałam, że łączy nas tylko seks.

Przynajmniej mi się tak wydawało. Tymczasem...

- Weroniko, myślałaś kiedyś, żeby odejść od męża? - zapytał pewnego dnia niespodziewanie, gdy leżeliśmy przytuleni do siebie w ciepłej jeszcze i skotłowanej pościeli.

Zesztywniałam w jego ramionach. Zrozumiał to bez słów.

- Nie myślałaś o tym - stwierdził ze smutkiem w głosie.
- Mam z Pawłem dziecko, a on jest dobrym człowiekiem - powiedziałam tylko. Nie chciałam ranić Artura twierdzeniem, że kocham męża, a z nim mam przecież tylko niezobowiązujący romans, który chyba będę musiała szybko zakończyć, ponieważ sprawy zaszły za daleko.
- No tak, gdybyś to ze mną miała dziecko, ja też nie pozwoliłbym ci odejść - stwierdził.

Od tego momentu zaczęło się między nami psuć. Nie byliśmy już tacy beztroscy jak dawniej. Po trzech miesiącach od tej niespodziewanej rozmowy zerwaliśmy ze sobą.

- Tak będzie lepiej dla nas obojga - podsumował Artur z głębokim westchnieniem. - Za bardzo się do ciebie przywiązuję!
- To miał być koniec komplikacji w moim życiu. Jednak w trzy tygodnie po rozstaniu okazało się, że jestem w ciąży!
- „Tylko z którym z nich: mężem czy z kochankiem?” - umierałam z niepokoju.

Z Pawłem kochaliśmy się ostatnio bardzo często. Nie wiem, czy sprawiły to moje wyrzuty sumienia z powodu romansu, czy ponowne otwarcie na seks, jakie zafundował mi Artur, ale znów bez trudu potrafiłam rozruszać męża w łóżku. I było nam cudownie, jak za dawnych lat. - Jesteś niesamowita - szeptał czule Paweł. A ja byłam szczęśliwa, że kochając się z nim, nie widzę już Artura, jak przez kilka miesięcy na początku tego grzesznego związku. Znowu widziałam męża.

Jednak kwestia ojcostwa dziecka pozostawała nadal otwarta. Czyje będzie to maleństwo?

„Nawet jeśli Artura, to i tak ojcem jest Paweł” - uznałam. Zdecydowałam się nie mówić mężowi. A on wprost oszalał z radości na wieść, że będzie ojcem! Przez całą ciążę prawie nosił mnie na rękach. Okazało się, że będziemy mieli bliźniaki, dwóch rozkosznych chłopców. Przepęłniało mnie szczęście i poczucie spełnienia.

Kiedy jednak przyszli na świat, po raz pierwszy poczułam niepokój. Maksymilian był tak bardzo podobny do Artura...

„To niemożliwe! Wmawiam sobie tylko. Aleksander jest przecież jak skóra zdjęta z Pawła”

- uspokajałam się. Nie było powodu do paniki. Zwłaszcza że mężowi nigdy nawet do głowy nie przyszło, żeby poddać w wątpliwość swoje ojcostwo. Podobnie jak wszyscy w rodzinie zauważył uderzające podobieństwo drugiego bliźniaka do wujka Edwarda - to tłumaczyło wszystko.

Minęły cztery lata. Moi chłopcy rośli zdrowo. Z Arturem od bardzo dawna nie miałam żadnego kontaktu, kiedy przeczytałam w jakimś piśmie, że bliźniacze komórki jajowe powstałe w organizmie jednej kobiety mogą zostać zapłodnione przez dwóch różnych mężczyzn.

Struchlałam. Jednak mogły się sprawdzić moje najgorsze przeczucia...

- Tak, to prawda. Może się tak zdarzyć, jeśli kobieta ma stosunek z dwoma mężczyznami w odstępie nie dłuższym niż dwanaście godzin

- potwierdził ginekolog, do którego poszłam po poradę.

A ja się przecież w dniu zajścia w ciążę kochałam i z mężem, i z Arturem!

„Co ja mam teraz zrobić?” - głowiłam się przerażona. - Sprawdzić to? A jeśli nawet, to po co?” Postanowiłam wszystko zostawić tak, jak jest.

Pewnego dnia robiłam porządki w szafie. W jej zakamarku znalazłam mój stary zwinięty sweter. „Co on tutaj robi niewyprany? Jeszcze się mole załęgą” - pomyślałam.

Obejrzałam dokładnie, czy już nie ma jakichś wygryzionych dziurek i wtedy... zobaczyłam na rękawie dość długi miedziany włos. Bez wątpienia należał do Artura!

„To jest dla mnie szansa, żeby poznać prawdę” - pomyślałam natychmiast.

Znalazłam w Internecie adres laboratorium, które zajmuje się określaniem ojcostwa po kodzie DNA i wysłałam włos Artura oraz włos Maksymiliana.

Po dwóch tygodniach przyszła odpowiedź na wynajętą przeze mnie skrzynkę pocztową. Laboratorium potwierdziło, że ojcem Maksa jest mój były kochanek!

Decyzję podjęłam już wcześniej: Artur się nigdy nie dowie, że ma syna. Przecież wyraźnie

kiedyś powiedział, że walczyłby wtedy o mnie i o dziecko, a ja nie chcę w życiu burz. Chcę mieć szczęśliwą rodzinę, taką, jaką tworzymy teraz z Pawłem. Bliźniaki też nie mogą stracić poczucia bezpieczeństwa. Nic nie może zburzyć ich przekonania, że mają jednego ojca. A jeśli Maks kiedykolwiek dowie się o Arturze, będzie to znaczyło, że jest chory i potrzebuje na przykład szpiku kostnego od rodzzonego ojca. Mam nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie. Znając jednak prawdę, czuję się spokojniejsza.

Ale ogier!

Gdzie jedziemy? - nie wierzyłam własnym uszom, gdy koleżanki wpadły do pokoju z nowiną. - Co to za kolejny dziwaczny pomysł?

Wiedziałam, że szef znowu zaplanował wyjazd integracyjny - ale żeby do stadniny?

- I jak ja mam tam chodzić w szpilkach? - jęknęłam, kołysząc na stopie zgrabny kłapek.

Kaśka zachichotała.

- Pamiętasz? Przeżyliśmy już wyścigi na quadach po bezdrożach! - przypomniała.

Walczyliśmy wtedy z działem kadr o skrzynkę piwa. Pamiętam także idiotyczną grę w paint

bolla, gdy biegałam ubrana w koszmarne kombinezon pokryty plamami farby, w którym wyglądałam jak pomocnica malarza. Rozwaliłam sobie wówczas eleganckie balerinki, czołgając się w jakimś okopie. A teraz miałam jeździć konno? Ja się przecież panicznie boję zwierząt! Nawet buldog wzbudza we mnie odruch ucieczki, a co dopiero ważący ze trzysta kilogramów koń.

Od kilku miesięcy marzyłam o tym, by szefem działu PR w naszej firmie została jakaś elegancka laska, a nie ten szurnięty skaut, Michał. Wtedy na integrację jeździlibyśmy do spa! Wyobraziłam sobie jednak dyrektora z maseczką z zielonej gliny na twarzy i padłam ze śmiechu. Z pistoletem do paintballa wyglądał przynajmniej jak wojownik. Pewnie o to właśnie chodziło...

- Nie wiem, jak wy, dziewczyny, ale ja tam nie zrezygnuję tym razem z wysokich obcasów - zapowiedziałam butnie. - Najwyżej będą musiały mi służyć jako ostrogi.

Tymczasem po przyjeździe na tę głuchą wieś spuściłam z tonu. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się wokół nas lasy i pola.

- Ani jednej galerii handlowej! - szepnęła teatralnie Monika i obie z Kaśką pobiegły do stajni „przywitać się z konikami”.

Wróciły jednak podejrzenie szybko, zarumienione z emocji.

- Ewka, ale tam jest ciacho - szepnęły, ciągnąc mnie za bluzkę.

- Gdzie? W stajni? Spodobał się wam jakiś koń? - parsknęłam śmiechem.

- Nie koń, tylko koniuszy. Mówię ci, boski facet! - wyprowadziła mnie z błędu Kaśka.

- Na pewno nie będę miała okazji go poznać, bo zamierzam symulować ostrą alergię na konie - zapowiedziałam. - Za nic w świecie nie wejdę do tej stajni, żeby tam nawet siedział sam Apollo.

- Nie wiesz, co tracisz - Monika wzruszyła ramionami.

I rozeszłyśmy się do naszych pokoi.

Wyciągnęłam z torby kolorowe kalosze, które kupiłam specjalnie na ten wyjazd.

Wyglądałam w nich całkiem zgrabnie.

Do kolacji zostało trochę czasu, więc postanowiłam się przejść. Ruszyłam wiejską dróżką

pośród pól. Było całkiem przyjemnie, wiał lekki wiaterek, nad polami zachodziło na różowo słońce. Ot, taki typowy pejzaż, trochę kiczowaty i nierealny.

Ale piesek na mojej drodze wcale nie był nierealny! Stał wpatrzony we mnie i strzygł uszami. Chciał zaatakować?

- Dobry Azorek, dobry - wymamrotałam, wycofując się powoli.

Potem nagle zrobiłam w tył zwrot, ruszyłam przed siebie biegiem i... po sekundzie padłam jak długa, trzymając się za kostkę!

- Jałłł! - jęknęłam.

Spróbowałam wstać. Udało mi się, ale prawa noga bolała jak diabli.

„Nie ujdę nawet paru kroków, a już się robi ciemno - przestraszyłam się. -1 jeszcze ten pies, który właśnie zbliża się do mnie... Zaraz mnie ugryzie i umrę na wściekliznę!”

Przypomniałam sobie, że ktoś mi opowiadał, jak należy się bronić przed atakiem psa. Trzeba położyć się na ziemi w pozie „na żółwia” i zasłonić uszy rękami.

Więc się położyłam i w napię-

ciu czekałam, co się teraz stanie. Ten wstrętny kundel pewne zacznie mi obgryzać pięty!

Tymczasem usłyszałam tylko cichy gwizd, a potem jakiś zdziwiony męski głos wykrzyknął: - A pani co tutaj robi? Ćwiczy jogę?

Powoli odsłoniłam uszy i lekko uniosłam głowę. Przed sobą miałam najzgrabniejsze męskie nogi w bermudach, jakie kiedykolwiek widziałam. Muskularne i opalone.

Kiedy odważyłam się spojrzeć wyżej, moim oczom ukazał się równie piękny tors i cała reszta.

- Ja?... Wiłam się tylko z bólu, bo skręciłam kostkę - odparłam, siadając z trudem i starając się wyglądać normalnie.

- Aha. Proszę mi to pokazać - zażyczył sobie mężczyzna i pochylił się z uwagą nad moją nogą w kaloszu.

- Mogę zdjąć? - spytał po sekundzie.

-Tak, tylko...

- Ostrożnie, wiem.

Pociągnął za kalosz, który zsunął się z mojej obolałej nogi, a potem obejrzał nogę.

- Chyba rzeczywiście zwichnięta... Pomogę

pani wstać i pokuśtykamy powoli do ośrodka. A tak nawiasem, Wojtek jestem.

- Ewa - mruknęłam, gdy pomógł mi wstać. Wsparta na ramieniu Wojtka jakoś dotarłam

do ośrodka, chociaż trwało to prawie trzydzieści minut.

- Proszę nie forsować tej nogi. Na wieczór zrobimy okład i jutro zobaczymy, czy domowe leczenie wystarczy, czy też konieczna będzie wizyta u lekarza, dobrze? - zdecydował mój wybawca.

Kiwnęłam posłusznie głową. Wojtek zaprowadził mnie do sali restauracyjnej i posadził na krzeselku.

- Zaopiekują się panie koleżanką? - spytał Kaśkę i Monikę oniemiałe z wrażenia.

- Oczywiście - kiwnęły zgodnie głowami.

- A mówiłaś, że ten facet cię nie interesuje

- natychmiast napadły na mnie, kiedy tylko Wojtek zniknął za drzwiami.

- Miałam na myśli konie - wyprowadziłam je z błędu. - To był ten wasz koniuszy?

Niezły

- dodałam niby od niechcenia.

Jednak w głębi duszy cała płonęłam. Ten facet była naprawdę boski! Wysoki, z długimi jasnymi włosami, jak Perepeczko, kiedy grał Janosika. I pachniał jakoś tak po męsku. Skórą, rozgrzanym sianem i jeszcze czymś... Czymś nieuchwytnym... Stajnię! - zdałam sobie sprawę, gdy po kolacji pokuśtykałam do niego na ten okład i opatrunek.

Stałam w progu, bo za nic bym się nie odważyła podejść do koni. Wojtek wychylił głowę z jednego z boksów.

- A, to ty! Podejź bliżej, będę akurat czyścił Bujana.

Pokręciłam głową.

- Co jest? - podszedł do mnie.

- Boję się koni - wyznałam.

- A ludzi się boisz? - spytał. -Nie.

- To koni też nie musisz się bać. One są jak ludzie - zapewnił mnie. - Chodź, zobaczysz!

Niepewnie weszłam do boksu.

- Konie są różne. Siwe, kare, jabłkowite _ Wojtek zniecka złapał mnie za kucyk i przyj-

rzał się moim włosom. - Bułane - ocenił, nawijając sobie kosmyk na palce. Stałam jak zaczarowana.

- Nie bój się. Dotknij go, o tutaj, na karku - nakazał. - I pogłaszcz - przeciągnął dłonią po mojej szyi w dół, aż między łopatki.

Przeszył mnie dreszcz podniecenia i posłusznie zrobiłam to, co dyktowała mi ręka Wojtka. Pogłaskałam Bujana - był aksamitny. Zanurzyłam palce w jego grzywę, tak jak Wojtek zanurzył dłoń w moje włosy, ściągając z nich gumkę, przez co opadły kaskadą.

Potem to już nagle obie ręce miałam zajęte Wojtkiem, który odwrócił mnie do siebie i pocałował namiętnie. Jego usta były suche, miały smak malin. Powoli zaczął muskać wargami moją szyję. Nawet nie wiem, kiedy rozpiął mi bluzkę. Odsunął mnie lekko od siebie i wpatrywał się z zachwytem w moje ciało.

Przejechał ręką między piersiami, w dół brzucha, a potem objął mnie w pasie i znowu przyciągnął do siebie.

- Ach! - jęknęłam, gdy mosiężna klamra jego paska boleśnie wpiła się w moje biodro.

Wojtek zareagował natychmiast, rozpinając ją, a wtedy ja jednym ruchem odpięłam mu guzik w spodniach, uwalniając jego pożądanie... Ostrożnie położyłam mnie na pachnącym sianie; moja krótka dżinsowa spódniczka nie była żadną przeszkodą dla jego pragnień.

Poczułam silne, ciepłe dłonie obejmujące moje pośladki, palce odsuwające wąski pasek stringów. Przeniknęła mnie rozkosz. Wojtek kołysał się nade mną najpierw powoli, potem coraz szybciej. Przyspieszał w miarę jak przyspieszały nasze oddechy. Gdy w moim gardle wezbrał krzyk rozkoszy, stłumił go pocałunkiem. Potem leżeliśmy jeszcze przez chwilę zmęczeni. Nagle zdałam sobie sprawę, że tuż obok mnie spokojnie stoi Bujan, który był świadkiem naszych uniesień, a ja już się go nie boję!

Wojtek podniósł się pierwszy.

- Chodź, zrobię ci ten opatrunek. Zaprowadził mnie do swojego pokoju. Noga była opuchnięta, ale nie wyglądała bardzo źle. Zrobił kompres i owinał mi stopę bandażem.

- Mogę zobaczyć drugą? - spytał.

- Ale ona jest zdrowa - zdziwiłam się.

- Jesteś tego pewna?- zamruczał. Nie byłam...

Wojtek ujął moją stopę w dłonie i delikatnie wymasował każdy palec. Już myślałam, że znalazłam się w niebie, gdy...

- Jeszcze nie jestem pewny, czy wszystko jest w porządku - stwierdził, unosząc ją do ust.

Jego gorący język wśliznął się między palce. Wojtek ssał je jak najśłodsze karmelki, a ja miałam wrażenie, że tym językiem sięga mego wnętrza i rozpala w nim płomień, w którym spalam się na popiół.

- Podobno miałaś nigdy nie wejść do stajni - stwierdziła z przekąsem Kaśka, gdy wróciłam w końcu do pokoju. Wyciągnęła z moich włosów źdźbło siana.

Tylko się do niej uśmiechnęłam. Pamiętałam, że z samego rana umówiłam się tam z Wojtkiem. Na zmianę opatrunku.

Syn na poranki, ojciec na wieczory

ZKacprem jesteśmy razem już prawie od roku, ale jego ojca poznałam ledwie dwa miesiące temu. I dopóki to się nie stało, byłam pewna, że z ukochanym łączymnie niezwykła więź. Nie wyobrażałam sobie, abym mogła pokochać kogoś innego! Tymczasem Zbigniew zawrócił mi w głowie, zajmując w moich snach miejsce swojego syna. I nie tylko w snach...

Kacper od dawna mieszka jedynie z matką. Jego rodzice rozwiedli się, gdy miałzaledwie kilka lat. Od tamtego czasu widywał ojca mary-

narza tylko kilka razy w roku. Mimo to zawsze był nim zafascynowany. Do dziś uważa go za wspaniałego, nietuzinkowego człowieka. Ciekawe, czy zmieniłby zdanie, gdyby wiedział, że jest on również świetnym kochankiem... Moim kochankiem.

Najpierw zobaczyłam Zbigniewa na zdjęciach stojących w pokoju Kacpra. Wysoki, szczupły mężczyzna nie miał w sobie nic z wilka morskiego. Żadnej brody czy wystającego brzucha ani fajki w zębach.

- Mój ojciec nie pali, zdrowo się odżywia i ma hopla na punkcie ćwiczeń. Poza tym ma dopiero czterdzieści siedem lat. Wiesz, trafiłem się starym dość wcześnie - powiedział Kacper.

On sam wdał się raczej w swoją matkę, kobietę filigranową, wiecznie zamyśloną. Kacper był także drobny i melancholijny, co właśnie mnie w nim ujęło. Z ochotą otoczyłam go swoimi opiekuńczymi skrzydłami.

Polubiłam się bardzo z mamą Kacpra, która widząc zaangażowanie syna w nasz związek, zaczęła mnie traktować z serdecznością, jak swoją

przyszłą synową. Podobało mi się, że jednocześnie wcale nie była nadmiernie ciekawska i wyraźnie się do nas nie wtrącała. Jakoś się tak utarło, że bywałam u nich co tydzień na sobotnim obiedzie, podczas którego matka często wspominała byłego męża. Zawsze mówiła o nim z szacunkiem i lekkim sentymentem, podkreślając, że po prostu do siebie nie pasowali...

Kiedy mój ukochany powiedział, że statek jego ojca zawija wkrótce do polskiego portu i chciałby, abyśmy spotkali się we troje, czułam się trochę tak, jakbym już znała pana Zbyszka. Tyle się o nim nasłuchiłam.

Tydzień później staliśmy przed drzwiami jego mieszkania w Gdyni. Gdy nam otworzył, poczułam wypełzający na twarz rumieniec - był niesamowicie męski i bardzo przystojny w białym polo i lnianych spodniach. „Niewymuszona elegancja” - uznałam z podekscytowaniem.

Wtedy po raz pierwszy z lekką niechęcią pomyślałam o Kacprze i jego dalekich od wytworności podkoszulkach z nadrukami, które chyba tylko on uważał za zabawne.

- Zapraszam - pan Zbigniew wpuścił nas do środka i uścisnął moją rękę na powitanie, a mnie przeszył dziwny dreszcz...

Ucieszyłam się, gdy zaproponował, żebym mówiła mu po imieniu.

Wprost nie mogłam się napatrzeć na tego mężczyznę. Pięknie pachniał, ładnie i ciekawie mówił, a kiedy się do mnie uśmiechał, w jego oczach zapalały się małe iskierki. Dobrze znałam to spojrzenie - podobnie patrzył na mnie Kacper, kiedy chciał się ze mną kochać... Jego zainteresowanie cieszyło mnie i przerażało.

Gdy wychodziliśmy z domu Zbyszka, było mi gorąco, a moje serce waliło jak oszalałe. Byłam pewna, że mu się spodobałam tak samo jak on mnie i to spowodowało, że zamiast krwi płynął mi w żyłach musujący szampan.

Przez cały tydzień szukałam pretekstu, żeby się znowu z nim spotkać.

Wiedziałam, że będzie w kraju przez miesiąc.

- A może wybierzemy się w weekend na żagle? - zaproponowałam w piątek Kacprowi. - Twój ojciec coś wspominał, że może nas

zabrać. Mam wielką ochotę, jeszcze nigdy nie żeglowałam.

- Nie dam rady - zmartwił się narzeczony. - Umówiłem się z mamą, że pomaluję jej łazienkę i nie mogę już tego dłużej odkładać. Ale ty? Dlaczego nie? Tata na pewno chętnie cię zabierze na pokład, jeśli tylko ma w planach żeglowanie - stwierdził z zapalem. - Najlepiej od razu do niego zadzwonię.

Kiedy telefonował do Zbigniewa, czułam, że nogi uginają się pode mną... Z jednej strony strasznie chciałam, żeby mnie zaprosił na te żagle, z drugiej bardzo się tego bałam, bo przeczuwałam coś nieuniknionego.

- Tata wpadnie po ciebie jutro rano. Ubierz się tylko ciepło, bo wieje - oznajmił po chwili Kacper, chowając komórkę.

„A więc stało się” - pomyślałam.

Przez cały wieczór myślałam podekscytowana, w co mam się ubrać. Chciałam wyglądać seksownie, a jednocześnie nie wyjść na głupią gęś, która nie ma pojęcia, jak się zachować na łodzi...

Niestety, chyba się jednak wygłupiłam, bo Zbyszek podjeżdżając pod mój dom, obrzucił mnie nieco rozbawionym spojrzeniem. Miał rację, bo mój kusząco opięty podkoszulek na łodzi natychmiast zrobił się wilgotny, aż w końcu przylepił się do mojego ciała, robiąc ze mnie miss mokrego podkoszulka. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać ze wstydu!

W końcu się nade mną ulitował i dał mi swoją kurtkę żeglarską. Pachniała gumą, ale jednocześnie także czymś zdecydowanie męskim, jakby cedrem i dobrze wyprawioną skórą. Poczulałam się w niej bezpiecznie.

Tymczasem Zbyszek pokazywał mi, jak trzymać linki od żagli i gdy przekazywał mi jedną z nich, nasze dłonie się spotkały. Poczulałam dreszcz, jakby ktoś mnie nagle podłączył do prądu o bardzo wysokim napięciu. Aż mną wstrząsnęło! Zbyszek musiał to zauważyć, bo spojrzał na mnie jakoś tak... Chyba oboje już wtedy wiedzieliśmy, co się wydarzy.

Kiedy pod wieczór mój przyszły teść odwiózł mnie do domu, byłam spięta jak nigdy w życiu.

Zaczełam zdejmować sztormiak, ale on powstrzymał mnie.

- Weź tę kurtkę, Lilu. Oddasz mi innym razem - powiedział, a potem pochylił się do mnie i dotknął ustami mojego policzka.

Wargi miał ciepłe i miękkie, delikatne. Zapragnęłam chwycić jego twarz w dłonie, przyciągnąć do siebie i mocno go pocałować, ale dzielnie wysiadłam z samochodu i na drżących nogach ruszyłam w stronę klatki. Dziwne, ale nie słyszałam za sobą warkotu odjeżdżającego auta...

Obejrzałam się. Zbigniew stał oparty o samochód i patrzył na mnie. Wtedy zdobyłam się na odwagę.

- A może wstąpisz na ciepłą herbatę?

- Jasne! Chyba mi się należy po całym dniu na wodzie - odparł.

Naturalnie o żadnej herbacie nie było już mowy, gdy dotarliśmy do mojego mieszkania. Ledwo zamknęły się za nami drzwi, Zbyszek chwycił mnie w ramiona. Chwilę potem przeżyłam chyba mój pierwszy w życiu cudowny, pełny orgazm!

Zbyszek był taki dojrzały i doświadczony, dokładnie wiedział, czego potrzebuje kobieta. Nie musiałam mu niczego podpowiadać, poprowadził mnie na sam szczyt rozkoszy.

- Wyglądałaś dzisiaj tak cudownie na łodzi w tym mokrym podkoszulku, że miałem ochotę cię zjeść! Walczyłem sam ze sobą, czy dać ci sztormiak, abyś przysłoniła nim te wszystkie wspaniałości, czy nie... Jednak w końcu rozsądek zwyciężył, bo przecież nie chciałem, abyś się przeziębila - powiedział mi potem, całując moje włosy.

Od przeszło miesiąca spotykam się z ojcem Kacpra. Jego statek nie wypłynął w terminie, ponieważ przedłużył się remont w stoczni, co jest nam bardzo na rękę. Boję się, że mój chłopak zacznie w końcu coś podejrzewać. Już teraz nie bardzo mam ochotę na seks z nim, bo muszę przyznać, że w łóżku nie dorównuje swojemu ojcu. Przy Zbigniewie czuję się prawdziwą kobietą: mam wrażenie, jakby znał wszystkie moje sekrety. Domyślam się też, że to dlatego, iż jestem jego kolejną

partnerką, ale to mi wcale nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Czuję się wyróżniona, że wybrał właśnie mnie.

Najgorsze, że wkrótce Zbigniew wypłynie na kilka miesięcy i nasza znajomość się skończy. Będę za nim tęskniła...

Jednocześnie jakoś już nie wyobrażam sobie swojej przyszłości u boku Kacpra. Jest taki dziecinny! Czy mam go zostawić? Szkoda by było, trochę mnie jednak z nim łączy. Może więc zostanę z moim chłopakiem, a od czasu do czasu będę spotykała się z jego ojcem... W sumie oni wzajemnie cudownie się dopełniają. Zbigniew daje mi swoją dojrzałość, a Kacper młodzieńczą spontaniczność. Cóż, jest mi dobrze tak, jak jest. Mam ich obu i pewnie nie zrezygnuję z żadnego z nich. Nie muszę przecież tego robić!

To więcej niż rozwód

Ze zdziwieniem wpatrywałam się w kopertę z nadrukiem sądu kościelnego, którą właśnie wyjęłam ze skrzynki. Czego oni mogą ode mnie chcieć? Przepełniona raczej ciekawością niż niepokojem weszłam do domu, rzuciłam byle jak sprawunki na kuchenny stół i otworzyłam list.

„Wzywa się panią... na przesłuchanie w dniu... z powodu... unieważnienia małżeństwa” - przebiegłam wzrokiem tekst pisma i kartka wypadła mi z ręki.

Tomek chce unieważnić nasz kościelny ślub? Jak on śmie?! Jakim prawem się waży?! - zabrakło mi tchu.

- Mamo? Coś się stało? - do kuchni weszła moja starsza córka Małgosia. Chyba wyglądałam upiornie, bo w jej oczach dostrzegłam wyraźny niepokój. Musiałam natychmiast się opanować! Gosia, dziś szesnastoletnia, strasznie przeżyła odejście ojca i nasz rozwód cywilny. Nie mogła się dowiedzieć, co znowu Tomek wykombinował!

- Nie! Nic! Chyba zbyt szybko wbiegłam po schodach - starałam się uśmiechnąć, niby łapiąc się za serce. - Ciągle zapominam, że nie jestem już nastolatką!

- Biegłaś z tymi siatami - ogarnęła wzrokiem zakupy. - Musisz bardziej na siebie uważać! Siadaj, zrobię ci herbaty.

Stała przy kuchence, a ja niespokojnie zerknęłam na list, który zleciał na podłogę i wylądował z boku lodówki. Małgosia nie może go zauważyć!

- Słonko, przynieś mi, proszę, kapcie! Nóg

już nie czuję w tych butach! - poprosiłam ją, zsuwając pantofle.

- Jasne! - córka zniknęła na chwilę w przedpokoju. Wystarczyło, bym błyskawicznie podniosła list i razem z kopertą wepchnęła go do torebki.

Do końca dnia robiłam wszystko machinalnie, jak w głębokim śnie. Jak automat podałam dziewczynkom obiad, potem pobawiłam się z pięcioletnią Madzią (na szczęście książeczki, które kazała sobie czytać, znałam już na pamięć), o siódmej wykapałam ją i położyłam spać. Gosia przez cały wieczór odrabiała lekcje, a potem włączyła jakiś film na DVD.

Udawałam, że razem z nią oglądam, ale nie miałam pojęcia, o czym był. Na ekranie przesuwały się jakieś kolorowe obrazki, a ja pogrążyłam się w moich myślach.

- Idę spać, jestem wykończona - poddałam się w końcu i pocałowawszy córkę na dobranoc powlokłam się do łóżka.

Nie mogłam jednak zasnąć. Przez cały czas myślałam tylko o moim dwudziestoletnim małżeństwie z Tomkiem.

Kiedy się pobieraliśmy, byliśmy tacy zakochani! Świata poza nim nie widziałam... I on poza mną też, a przynajmniej tak twierdził. Mieszkaliśmy w maleńkiej kawalerce, wszystkie pieniądze wydawaliśmy na podróże po Polsce. Gdzie my nie byliśmy! Nawet maleńkie wioski nie miały przed nami tajemnic, wszędzie dotarliśmy z plecakami!

To się zmieniło, gdy urodziła się Gosia. Mieliśmy wprawdzie takie plany, że będziemy ją wszędzie zabierali, ale nasza córeczka okazała się bardzo chorowitym dzieckiem.

Przez pierwsze pięć lat Tomek harował, żeby utrzymać dom, a ja siedziałam z Gosią prawie bez przerwy w domu, bo jedna angina przechodziła w drugą.

- Wyrośnie z tego! - pocieszali mnie lekarze i przyjaciółki. Z wiekiem córka rzeczywiście nabierała więcej odporności, ale pozostała bardzo wrażliwym dzieckiem.

Była silnie związana z ojcem. Może dlatego, że mnie miała na co dzień, a jego rzadko, ponieważ wracał z pracy późno, gdy już spała. Kiedy

w końcu znajdował dla niej czas w weekendy, nie posiadała się z radości. Dlatego nawet teraz, jako nastolatka, nadal potrzebowała Tomka. Tylko że on tego najwyraźniej nie rozumiał!

- Chcę rozwodu - zakomunikował mi pół roku temu bez ogródek, chwilę po tym, jak przyznał się do romansu z młodszą o prawie dwadzieścia lat asystentką. Boże, jakie to banalne! Pan dyrektor i sekretarka... Nie mogłam uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się w moim życiu! I to teraz, gdy niedawno urodziła się nam wyczekiwana od lat druga córka! A przecież miało być tak pięknie... Dwie udane córki, ładnie urządzone mieszkanie, co trzy lata nowy, całkiem przyzwoity samochód, urlopy w egzotycznych krajach...

- Przeczekaj, przejdzie mu - radziły koleżanki, gdy się im wypłakiwałam, że Tomek spakował swoje rzeczy i przeniósł się do wynajętego mieszkania. - Znudzi się tą babą i szybko do ciebie wróci, przecież jest taki wygodnicki! Tak kocha te twoje obiady! I cały ten komfort, który

mu zapewniasz, prowadząc dom. Tamta na pewno nie będzie wokół niego tak skakała!

Mijały jednak tygodnie, a mój opór najwyraźniej nic nie dawał. Tomek jakby oszalał na punkcie tamtej kobiety!

- Żeby ona chociaż była atrakcyjna! A to taka hoża wiejska dziewczyna z rumieńcami! Najgorsze, że ona chyba nienawidzi naszych dziewczynek i dlatego nie pozwala Tomkowi do nas przychodzić! - żaliłam się moim przyjaciółkom. Były tym zbulwersowane.

- Jest zazdrosna o dzieci?! Niemożliwe! Pokiwałam smutno głową.

Mąż odwiedzał nas coraz rzadziej. Mała Madzia, którą przedtem często odwoził do przedszkola, zaczęła siadywać w kącie pokoju i kiwając się smętnie w przód i w tył, powtarzała monotonnie: „Nie mam już tatusia, nie mam tatusia!”.

- Ależ masz, kochanie! - brałam ją w ramiona, powstrzymując łzy. - Tylko tatuś musi mieszkać gdzie indziej, bo zarabia pieniążki! - usiłowałam jej tłumaczyć, po czym otwierałam album ze zdjęciami, na których Tomek tulił ją

do siebie, albo puszczałam stare filmy z wakacji, gdy jeszcze wyjeżdżaliśmy wszyscy razem.

- Widzisz, to tatuś! On cię bardzo kocha! - uspokajałam Madzię.

A gdy córeczka zasypiała, dzwoniłam do Tomka wściekła, grożąc mu i zaklinając go na przemian, aby odwiedził swoje dzieci.

Gosia, która była świadkiem tych akcji, najczęściej szła do swojego pokoju i zagłębiała się w książkach. Zawsze lubiła czytać, więc wtedy jeszcze myślałam, że choć ona tak bardzo nie cierpi pod nieobecność ojca. Bardzo się myliłam!

Bomba wybuchła kilka tygodni później.

- Tata spędzi z nami urodziny Gosi! - poinformowałam radośnie dziewczynki. - Przyjdzie jutro rano i będzie cały dzień!

Widziałam, że Gosia rozpromieniła się, słysząc tę nowinę. Zamiast zniknąć w swoim pokoju z książką, natychmiast rzuciła się pomagać mi w kuchni.

Gdy wszystko było już zapięte na ostatni guzik, obrus na stole, na nim urodzinowy tort i inne smakołyki, zadzwonił Tomek.

- Niestety, jednak nie przyjdę. Inga miała jechać do rodziców, ale uciekł jej pociąg i teraz muszę ją tam zawieźć - powiedział.

Akurat jej uciekł! Specjalnie go przepuściła! - wkurzyłam się.

- Wpadłbyś chociaż na chwilę, przynajmniej złożyć Gosi życzenia! - bardzo się starałam, by nie okazać złości.

- Zajrzę w poniedziałek po pracy, z prezentem. Z życzeniami zadzwonię do niej, jak dojadę. Teraz naprawdę nie mogę, wyjechałem już z miasta! - tłumaczył się gęsto.

A więc tamta siedzi obok niego i wszystko słyszy, larwa jedna! Załamalam się.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - wykrzyczała wtedy Gosia, gdy usłyszała wieści.

A potem przestała się do ojca odzywać.

- Tak nie może być. Musicie państwo się na coś zdecydować. Albo będziecie razem, albo rozwód! Dzieci muszą mieć jasną sytuację - powiedział mi psycholog, u którego szukałam porady.

Ponieważ czułam, że Tomek za nic do mnie nie wróci, przestałam się upierać.

- Dobrze, dam ci rozwód, ale na moich warunkach - zapowiedziałam mu. Zażądałam mieszkania dla mnie i dziewczynek, sowitych alimentów oraz orzeczenia o jego winie. Ku mojemu zdumieniu, bez namysłu zgodził się na wszystko.

Po rozwodzie nasze stosunki faktycznie jakby się polepszyły. Ta jego Inga chyba poczuła, że wygrała, więc pozwalała Tomkowi częściej do nas przychodzić. Nasze życie znów zaczęło się jakoś układać. Widziałam, jak dobrze wizyty Tomka działają na dzieci. Madzia dosłownie promieniała, siedząc na kolanach tatusia. Czasami nawet ojciec przyjeżdżał po nią przed pracą i odwoził do przedszkola.

Gosia znowu zaczęła się do ojca odzywać. Z początku raczej półgębkiem, ale potem już coraz normalniej, jak za dawnych czasów, gdy potrafili spędzać razem długie godziny na zażartych dyskusjach na rozmaite tematy.

A teraz to wszystko miało legnąć w gruzach? Ta mała stabilizacja, którą sobie zbudowałyśmy

po rozwodzie? Tylko dlatego, że jemu się zachciało rozwodu kościelnego?!
Noc po przeczytaniu pisma z kurii miałam kompletnie nieprzespaną. Z samego rana zadzwoniłam do Tomka.

- Kompletnie ci odbiło? Myślisz, że pozwolę na unieważnienie naszego małżeństwa zawartego przed Bogiem? - syknęłam.

- Reagujesz zbyt emocjonalnie - odparował ten drań. - Ale mam propozycję. Spotkajmy się i porozmawiajmy jak ludzie. Kasiu, jestem pewien, że zmienisz zdanie.

- Nigdy! - rzuciłam słuchawką i zadzwoniłam do znajomego prawnika.

- Niestety, nie mam dla ciebie dobrych wieści. Twoja zgoda wcale nie jest potrzebna, żeby Tomek dostał rozwód w Kościele. To nie jest jak sąd cywilny - uświadomił mi.

Byłam zszokowana.

- To co mam zrobić? - spytałam.

- Na twoim miejscu stawiłbym się jednak na to przesłuchanie. A wcześniej przeczytałbym w aktach, jakich argumentów użył Tomek, sta-

rając się o unieważnienie waszego małżeństwa. Niektóre na pewno są do zbicia. Na drżących nogach pojechałam więc do kurii. Dostałam kopię zeznań byłego męża. Im dłużej je czytałam, tym bardziej dochodziłam do przekonania, że spędziłam kawał mojego życia z potworem. W jaki sposób ktoś, kogo kochałam, z kim mam dwoje dzieci, może być zdolny do takiego okrucieństwa? Tomek całą winą za niepowodzenie naszego małżeństwa obarczał mnie! „Moja żona pochodzi z rozbitej rodziny i dlatego nie potrafiła nigdy nawiązać prawidłowych relacji partnerskich.... Jest osobą słabo wierzącą w Boga i w duchu ateizmu wychowuje nasze dzieci, z czym nie mogę się pogodzić” - bredził na piśmie mój eks. Dalej zarzucał mi niedojrzałość emocjonalną, lenistwo - jego zdaniem całe życie nie pracowałam! - i parę innych rzeczy, jak na przykład niespełnianie powinności małżeńskich. Niespełnianie?! A nasze córki w kapuście znaleźliśmy?! - wściekłam się.

- Czytałam akta. Co ci odbiło? Ty wstydu nie masz! - zadzwoniłam wieczorem do Tomka, kiedy byłam pewna, że córki smacznie śpią.
- Nie bierz tego tak bardzo do siebie...
- A do kogo mam brać? Do sąsiadki?!
- No, przecież musiałem coś takiego napisać, żeby dostać to unieważnienie! Oni tam nie dają rozwodu tak łatwo.
- Ale jak ty możesz kompletnie przekreślać nasz związek, jakby w ogóle nie było tych dwudziestu wspólnych lat? Jakbyśmy dzieci razem nie mieli? Czy wiesz, że unieważnienie małżeństwa automatycznie oznacza, że nasze córki w oczach Kościoła zostaną bękartami?! - syczałam, podnosząc głos.
- Nie muszą o tym wiedzieć! - mój były mąż też podniósł głos.
- Do czego ty mnie namawiasz? - mówiłam coraz głośniejszym głosem. - Do kłamstwa przeciwko sobie i moim dzieciom? Do potwierdzenia, że byłam złą żoną i złą matką?
- To nie tak, Kasiu... - mój były zmienił nagle ton. - Po prostu Inga żąda ode mnie ślubu

kościelnego. Mówi, że jej matka tego nie przeżyje, że ona żyje z rozwodnikiem, bez błogosławieństwa! - zająknął się. - Wiesz, zrobiła ostatnio Ingusi awanturę, że jak wyjdzie za mnie, to nie będzie już mogła komunii świętej przyjmować! No nie! Ja chyba śnię!

- Ale nie przeszkadza jej, że córka bez ślubu z tobą mieszka? - wrzasnęłam na cały głos. - Pewnie jeszcze osobiście jej wianek założy. Jak dziewczicy! Nie, rozwodu kościelnego ode mnie nie dostaniesz!

Rzuciłam słuchawką. Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś ruch w przedpokoju. Któraś z dziewczynek się obudziła?

Wyjrzałam, ale nikogo tam nie było. Sprawdziłam, że śpią w swoich pokoikach. Madzia rozkosznie posapywała przez sen.

Położyłam się i prawie od razu zasnęłam wykończona. Nie mam pojęcia, ile spałam, ale wiem, że nagle obudziła mnie świadomość, że dzieje się coś strasznego. Jakbym dostała młotkiem w głowę!

„Dziewczynki!” - pomyślałam i wybiegłam z sypialni na korytarz. A tam się o coś potknęłam. Leżące w poprzek ciało... Gosia!

Następne godziny pamiętam jak przez mgłę. Moja córeczka leżąca we własnych wymiocinach, bezwładna... Pogotowie... Lekarz, który się dopytywał, co Gosia połknęła i ile. Na szczęście w łazience znalazłam pustą fiolkę po moich tabletkach nasennych.

- Są słabe, więc nie powinny być groźne, tym bardziej że córka większość wymiotowała - uspokoił mnie lekarz. - Zabierzemy ją do szpitala, poobserwujemy przez kilka dni.

- Musiała słyszeć moją rozmowę z Tomkiem, dlatego to zrobiła! - powiedziałam do siebie głośno, gdy nagle, ze zgrozą, uświadomiłam to sobie.

- Nie możesz sobie niczego wyrzucać, to jego wina! - usłyszałam od przyjaciółki, do której natychmiast zadzwoniłam.

Tylko że ja miałam już wszystkiego dość. Chce drań rozwodu kościelnego, to niech go sobie bierze - i znika z mojego życia!

Tymczasem Tomkiem wydarzenia tamtej nocy... naprawdę wstrząsnęły.

Zastałam go w szpitalu przy łóżku śpiącej Gosi.

- Omal jej nie straciłem! Mojej małej córeczki. .. Idiota! - wyszeptał na mój widok. - Zapowiedziałem już Indze, że koniec z tymi żądaniem. Albo się pogodzi z tym, że jestem dzieciętym rozwodnikiem, albo nici z naszego związku!

Popatrzył na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami i poczułam, że choć już się nie kochamy, to wciąż kochamy nasze dzieci i zrobimy razem wszystko, aby były szczęśliwe! Już nie byłam samotną matką. Moje dzieci mają ojca, który będzie je wspierał. Jak kiedyś, przed rozwodem!

Sobie przeznaczeni

Zaprosił mnie sąsiad. Nigdy wcześniej nie widziałam go z żadną dziewczyną. Może właśnie dlatego przyszedł do mojej mamy poprosić, bym poszła z nim na sylwestra. Mama, o dziwo, zgodziła się. Byłam podekscytowana - sami dorośli i ja. Ponieważ jednak nie byłam przygotowana na takie imprezy, musiałam pożyczyć sukienkę, buty, narzutkę...

Sąsiad na miejscu od razu zaczął wznosić ze znajomymi toasty. Po godzinie był tak wstawiony, że nie kojarzył, kim jestem. Nikogo poza nim tam nie znałam. Już miałam wracać do

domu, gdy zaczepił mnie młody ochroniarz. Przyznał mi się potem, że wyglądałam na środku sali jak porzucony szczeniak. Żał mu się zrobiło, więc się mną zajął.

Przegadaliśmy i przetańczyliśmy całą noc. Do rana śmiertelnie się zakochałam. Igor był dziewięć lat starszy, ale nie czuliśmy tej różnicy. Byliśmy dla siebie stworzeni. Miał za granicą rodzinę i w zasadzie tam mieszkał i pracował. Do Polski przyjeżdżał okazjonalnie - dwa, trzy razy w roku. Miał mieszkanie po mamie i musiał je doglądać.

Odkąd poznałam Igora, do szkoły biegłam jak na skrzydłach, a jeszcze szybciej z niej wracałam. Nie spotykaliśmy się często, ale gdy już byliśmy razem, były to chwile wyjątkowe.

Jednak w końcu nadszedł ten dzień.

- Jutro wyjeżdżam - powiedział krótko.

- Jak to? Na długo? - przeraziłam się.

- Kotku, muszę wracać.

To było wszystko. Nie prosił, żebym czekała. Nie mówił, że wróci. Nie było żadnego „potem”. Myślałam, że pęknie mi serce. Jednak żyłam

dalej, choć to, co mnie spotkało, było tak niesprawiedliwe.

Potem Igor wracał i znów wyjeżdżał. Wiem na pewno, że nie miał nikogo poza mną. Kiedy się spotykaliśmy, świat przestawał istnieć. Gdy wyjeżdżał, czułam, jakby umierał każdy kawałek mojego ciała i duszy.

Nigdy go nie prosiłam, by został. Nie wiem czemu. Może się bałam, że stracę tę odrobinę miłości, którą mam? Kochałam go rozpaczliwie. Teraz myślę, że on mnie też.

Tak minęło pięć lat. Miałam cichą nadzieję, że w końcu będziemy razem na serio, bo było mi coraz trudniej. W Polsce sytuacja się zmieniła i Igor mógł poszukać tu pracy... On jednak nadal żył jak wcześniej, przyjeżdżając i wyjeżdżając.

Tym razem zjawił się w kraju na dłużej - na ponad trzy miesiące. „Może już nie wyjedzie”

- myślałam. Ale później znów zostałam sama

- bez nadziei, bez prośby, bym czekała, bez „kocham cię”. To mnie dobiło.

Wokół wiosna, świat powracał do życia, kwitły drzewa i kwiaty, młodzi ludzie chodzili

ulicami, trzymając się za ręce. Byłam załamana. W dodatku odczuwałam dziwny niepokój - jakbyśmy mieli się już nie zobaczyć.

Marcina poznałam w piekarni obok mojego domu. Od słowa do słowa i dałam się zaprosić na imprezę. Dziś nie rozumiem dlaczego, lecz wtedy było mi wszystko jedno: spędziłam z nim noc, jakbym chciała zagłuszyć cały mój ból. Nic to nie dało. We mnie była tylko rozpacz.

Wkrótce dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Wtedy zaczęło się moje dorosłe życie. Na szczęście rodzice nie wygonili mnie z domu. Chcieli, żebym wzięła ślub z Marcinem - tak dla świętego spokoju, lecz ja uznałam, że ten człowiek to w moim życiu pomyłka.

Matyldę urodziłam w marcu. Była śliczna i bardzo grzeczna. Moją wielką miłość do Igora zamieniłam na miłość do córeczki.

Spotkałam go ponownie przypadkiem, gdy Matylda miała roczek. Ironia losu - zobaczyłam, jak stoi z walizką przy autobusie, znów wyjeżdżał. Nie było czasu nawet na zdawkowe „co słyhać”. Chyba wtedy ostatecznie straciłam

nadzieję, że los nas kiedyś połączy. Mimo to nie umiałam pozbyć się tej miłości. Po drugich urodzinach Matyldy wyjechałam na wschód Polski. Na koniec świata, jak to określiła moja mama. Czułam, że muszę zmienić swoje życie, a nie zrobię tego w miejscu, które mi wciąż przypominało o Igorze.

W Białymstoku żyło się inaczej. Jest to miasto ludzi otwartych - mieszka tam dużo Rosjan, Ukraińców. Nie było źle.

Tam wyszłam za mąż. Czy z miłości? Chyba raczej z namiętności: pomyliłam seks z uczuciem. A może to moja długoletnia samotność sprawiła, że tak pochopnie związałam się z tym człowiekiem? Nie byłam z nim szczęśliwa.

Kiedy dowiedziałam się o chorobie mamy, podjęłam decyzję o powrocie w rodzinne strony. Z mężem. Moje małżeństwo już wtedy się mocno sypało, lecz nadal byliśmy razem. Dziś myślę, że żadne z nas po prostu nie miało innego pomysłu na życie.

Po powrocie do mojego miasteczka wpadłam w wir: nowe mieszkanie, przeprowadzka, nowa

praca, odnawianie kontaktów. Nie miałam czasu na myślenie i w gruncie *rutcpj* bardzo mi to odpowiadało. Byłam wciąż młodą kobietą, miałam śliczną córkę, męża - przynajmniej formalnie, realizowałam się zawodowo. Czego więcej trzeba?

Wróciły wspomnienia. Kiedyś tymi samymi uliczkami chodziłam z Igorem. Odruchowo zaglądałam w okna, przechodząc obok mieszkania jego mamy. Nie spodziewałam się go spotkać. Chyba nawet nie chciałam. Bo co niby miałabym zrobić na jego widok? Rzucić mu się na szyję i wykrzyknąć, że mimo wszystko cały czas go kocham? Bzdura!

Mój mąż zaczął pracować w firmie spedycyjnej. Często wyjeżdżał, również za granicę. W końcu podpisał kontrakt z włoską firmą i przeniósł się do Italii. Raz na kwartał miał być w domu.

Nie powiem, przy naszym byle jakim już poziomie to rozwiązanie uznałam za doskonałe - nie musieliśmy już niczego udawać. Żyłam dla córki, lubiłam moją pracę. Było w porządku.

Którejś soboty wybrałyśmy się z Matyldą na zakupy do supermarketu. Ja tego nie lubię, ale moja córeczka - przeciwnie. I tam natknęłam się na Igora przy stoisku z napojami. A potem staliśmy w długiej kolejce do kasy i przez kwadrans próbowaliśmy opowiedzieć sobie siedem lat życia. Igor wyglądał tak, jak go zapamiętałam: czas obszedł się z nim łaskawie.

Wymieniliśmy numery telefonów. Wracalam do domu odurzona, aż Matylda zapytała, czy nie jestem chora. Byłam. Z miłości.

Zadzwoiłam do niego, umówiliśmy się. Mogłam nie pójść. Ale gdy poszłam, było już za późno. Uczucie porwało nas jak lawina. Nie myślałam, nie kalkulowałam - brałam i brałam. Jego usta, dłonie, serce, wszystko.

Spotykaliśmy się ukradkiem: ja, mężatka z dzieckiem, nie mogłam ryzykować skandalu.

Bałam się przyszłości. Już chyba nawet nie tego, że on znowu wyjedzie. Bardziej tego, że wróci mój mąż, z którym będę musiała kłaść się do jednego łóżka. Po czymś takim to było już niemożliwe.

Igor wyczuwał moje nastroje. Sądziłam, że znów ucieknie. Tym razem jednak sprawy potoczyły się inaczej. Chyba wreszcie dojrzał do stabilizacji.

Zaproponował wspólne życie.

Przechodziliśmy to razem, gdy mój mąż się wyprowadzał i kiedy moja córka nie wiedząc, dlaczego jej świat drży w posadach, pierwszy raz mi się przeciwstawiła.

Początki były trudne. Nieraz myślałam, czy było warto.

Rozwiodłam się kulturalnie i szybko. Bez orzekania o winie, bez podziału majątku, świadków i tego całego zamieszania. Nie mieliśmy z mężem wspólnych dzieci (dziś myślę, że to nie było normalne), konta w banku również były oddzielne.

A w moim życiu - nowe mieszkanie (mamy Igora, to, w którym wszystko się zaczęło) i stary-nowy mężczyzna. Po tylu latach w końcu ten właściwy.

Naszą miłość mącił tylko jeden problem: Matylda. Dla niej mój były mąż był ojcem - jedynym, jakiego znała. Obarczała winą Igora, że tatuś musiał odejść. To było bardzo trudne.

Gdybym musiała wybierać, wybrałabym oczywiście Matyldę. Jednak nie musiałam. Moja córka z czasem Igora zaakceptowała.

Dziś mijają dwa lata, odkąd razem zaczęliśmy żyć na nowo. Może nie zawsze jest tak, jakbym sobie życzyła, ale czuję się bardzo szczęśliwa. Mamy już z Igorem wspaniałego synka, planujemy kolejne dziecko. Igor jest cudownym ojcem, także dla Matyldy.

Oboje jesteśmy pewni, że nie może być inaczej. Po prostu jesteśmy sobie przeznaczeni.

Spróbujmy jeszcze raz

A pierwszy błąd popełniłam ja - po urodzeniu Wojtusia. Syn stał się dla mnie najważniejszy na świecie i jemu poświęcałam całą uwagę. Nie dbałam o siebie, nie dbałam o Marka, mojego męża. Nawet seks przestał mnie pociągać. Marek próbował cierpliwie przeczekać ten okres braku zainteresowania z mojej strony, ale jego cierpliwość nie została nagrodzona. W każdym razie nie przeze mnie. Oddaliliśmy się od siebie, i to bardzo.

Mijały miesiące. Mąż coraz więcej czasu spędzał poza domem. Początkowo sądziłam, że od-

daje się swojej pasji - wędkowaniu - przypadkowo jednak wydało się, że wypadki na ryby były tylko przykrywką dla jego spotkań ze znajomymi z pracy. Po raz pierwszy wkradły się między nas nieszczerłość i kłamstwo. No i siłą rzeczy nasze stosunki jeszcze bardziej się ochłodziły.

Doszło w końcu do tego, że Marek zaczął być w domu gościem. Nawet wieczory spędzaliśmy osobno: kiedy mąż wracał, ja już spałam kompletnie wykończona opieką nad Wojtusiem.

Nie wyobrażałam sobie w tej sytuacji powrotu do pracy - wzięłam urlop wychowawczy. Jedynymi dorosłymi osobami, z którymi wówczas się spotykałam, były inne młode mamy i babcie. I to był mój drugi błąd.

Oczy otworzyła mi spotkana przypadkowo koleżanka ze szkolnej ławki.

- Ale się roztyłaś i zaniedbałaś! - krzyknęła na mój widok, nawet nie usiłując zachować pozorów.

Zawstydziłam się. Kaśka była elegancko ubrana, umalowana i uczesana.

Wyglądałam przy niej jak stara ciotka.

- Zobaczymy, co będzie, jak ty urodzisz dziecko - odparłam bez przekonania. -
Teoretyzuje się łatwo, gorzej z praktyką.

- Dobrze ci radzę - Kaśka życzliwie spojrzała mi w oczy. - Weź się za siebie.
Może gdybym wtedy jej posłuchała, wszystko potoczyłoby się inaczej, ale ja po
paru dniach zapomniałam o przykrych uwagach koleżanki. I to był kolejny mój
błąd.

Następny popełnił Marek. Wszystko według schematu, w dodatku wiem, że sama
na to pilnie zapracowałam.

Któregoś dnia wracając z Wojtusiem ze sklepu, zobaczyłam męża z inną kobietą.
Była piękna i zadbana. Wyglądali na więcej niż zaprzyjaźnionych.

Marek przyparty do muru przyznał się, że ma romans z koleżanką z pracy.

Zaniemówiłam. Sądziłam, że będzie się wypierał, zaprzeczał, próbował
usprawiedliwiać, tymczasem on niczego nie ukrywał. zaproponował nawet,
żebyśmy się rozwiedli, bo od jakiegoś czasu właściwie nic nas ze sobą nie łączy.
Zarzucił mi, że w ogóle się

nim nie interesuję, że przestałam go kochać, a Iwona (ta koleżanka z pracy) przynajmniej chce z nim sypiać. Następnego dnia spakował walizki i po prostu się wyprowadził.

Byłam zrozpaczona, zazdrosna i bezradna. Pojęłam jednak, że jest tylko jedna droga, jeśli chcę odzyskać Marka. Muszę porządnie wziąć się za siebie.

Długo trwało, zanim zgubiłam zbędne kilogramy i zaczęłam znowu wyglądać jak młoda, niebrzydka kobieta. Ale udało się. Udało mi się też wrócić do pracy, choć przedtem musiałam pójść na kurs - dużo się w czasie mojej nieobecności zmieniło. Wyjeżdżając na szkolenie, zostawiłam Wojtusia pod opieką jego taty. Szybko się zorientowałam, że nie wyglądam gorzej od innych kursantek, a może nawet lepiej, skoro wpadłam w oko panu Jankowi, przemilemu czterdziestolatkowi, który świetnie znał się na komputerach i przynajmniej tak samo dobrze na kobietach. Kilka kolejnych wieczorów spędziliśmy razem, znakomicie bawiąc się w swoim towarzystwie. Pan Janek nie ukrywał,

że bardzo mu zależy na czymś więcej niż miłe rozmowy przy winku, czytałam to w jego oczach. A ja biłam się z myślami. Pochlebiało mi zainteresowanie tego mężczyzny, ale... nic do niego nie czułam. Nie popełniłam kolejnego błędu. Być może uchronił mnie przed tym telefon od Marka. Z duszą na ramieniu biegłam do recepcji, sądząc, że stało się coś złego, ale zamiast tego usłyszałam: - Siedząc tu z Wojtkiem, przemyślałam wiele spraw. Kocham cię, Paulinko, i chciałbym wrócić. Spróbujmy jeszcze raz. Spróbowaliśmy i dziś mamy dziesięcioletni staż małżeński, dwoje wspaniałych dzieci: Wojtka i Justynkę, i żadnych więcej błędów na koncie.

Następnym razem

Edyta, czyli jedna z moich przyjaciółek, zawsze twierdziła, że nie należy robić sobie żadnych planów, bo i tak nic z nich nie wyjdzie. Przyznałam jej rację przynajmniej z pięćdziesiąt razy. Mądra z niej dziewczyna!

Tego feralnego dnia jednak nie pamiętałam o świątłych radach Edyty, bo jak zwykle się spieszyłam i jak zwykle miałam nadzieję, że uda mi się nie spóźnić... Być może nawet sama wierzyłam w te moje szlachetne zamiary. Na razie jednak z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy przeglądałam wyłożone na sklepowej ladzie

marchewki, sałaty i pomidory. Ponieważ jestem zagorzałą miłośniczką tych ostatnich, wybierałam je ze szczególną starannością.

Właśnie kiedy wypatrzyłam wyjątkowo dorodny okaz, sięgnęła po niego równocześnie ze mną inna ręka. Ten ktoś pociągnął owoc, na co odpowiedziałam tym samym, tyle że dużo mocniej. Wygrałam! Wyszarpnęłam pomidora marzeń z łap intruza i spojrzałam na niego z satysfakcją (na intruza, nie na pomidora oczywiście). Zaraz! Hmm... Takiemu mężczyźnie można ustąpić pola. On również popatrzył na mnie z błyskiem w oku i wykazał się dużo lepszym refleksem, ponieważ z uśmiechem skwitował nasze starcie:

- W pani ręce...

- Perswaduję... - nie myśląc, co robię, automatycznie dokończyłam ulubiony toast mojego dziadka.

- Z przyjemnością! - poza refleksem miał także poczucie humoru.

Popatrzyliśmy na siebie ponad piramidą pomidorów i ryknęliśmy śmiechem.

- Żeby jeszcze Krwawa Mary była - zażartował mój przeciwnik.

- To już może następnym razem - zaproponowałam uprzejmie.

Babcia zawsze mi powtarzała, że powinnam zastanawiać się nad tym, co mówię. Też mądra kobieta z niej była. Bo oto konkurent do pomidora rzucił z poważną miną:

- Trzymam za słowo! Kolejne spotkanie uczcimy wódką z sokiem pomidorowym!

Zasalutowałam nieznajomemu i odpłynęłam w kuszącą dżunglę regałów z przyprawami, przetworami, serami i jajami.

Kupiłam niezbędne produkty i postanowiłam, że zobaczę jeszcze, co nowego w sklepie z butami. No i kiedy przymierzałam w tym samym centrum handlowym w miarę interesujące pantofle, usłyszałam:

- Opatrzność nas na siebie skierowała. Uniosłam głowę do góry i... kogo zobaczyłam? Mojego pomidorowego konkurenta.

- Zapraszam na drinka - rzucił z triumfalnym uśmiechem.

„O niedoczekanie!" - pomyślałam. Z drugiej strony, obiecaliśmy sobie Krwawą Maryskę przy ponownym spotkaniu...

- Dobra, ale tylko na jednego. Przeszliśmy do najbliższej knajpki, w której, wstyd się przyznać, utknęliśmy na najbliższe dwie godziny. Łukasz okazał się wyjątkowo ciekawym rozmówcą. Całkiem na luzie, bez podkreślania własnej oryginalności, opowiadał zajmująco o trekkingach w Azji i Ameryce Południowej. Mówił interesująco, z humorem. Ale, niestety, to on, a nie ja, w pewnym momencie rozmowy z tragicznym wyrazem twarzy spojrział na zegarek.

- Przepraszam, czeka na mnie kobieta mojego życia... - powiedział.

Minę miałam chyba całkiem nietęgą, bo pospieszył z wyjaśnieniem:

- Córka, pierwszoklasistka.

Cholera, cholera, cholera! Tyle razy mówiłam sobie, żadnych żonatych facetów!

- Ojej, chyba źle się wyraziłem. Córka aktualna na zawsze, żona była od sześciu lat - Łukasz

uśmiechnął się naprawdę czarująco. - To co, jeszcze raz to samo?

Ploty z dziewczynami nagle wydały mi się całkiem nieważne. Kino zresztą też.

No i tak to się zaczęło.

Spotkania, filozoficzne rozmowy o tym, że życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Z drugiej jednak strony, kto powiedział, że będzie usłane różami...

Razem zaczęliśmy leczyć swoje rany. Ja, nie-pogodzona po odejściu miłości życia (na szczęście coraz częściej myślę, że jednak nie mojego), i on - spokojnie oceniający, że to nie była ta właściwa dziewczyna. Często wybieramy się na spacer po okolicznych lasach, razem biegamy z psami i chodzimy na rockowe koncerty. I kto wie, może nam się uda? Mamy przecież podobnie pogodny dystans do życia, tak samo straciliśmy zaufanie do płci przeciwnej. To dobra baza, aby budować coś własnego, prawda?

Poskromienie biurowej złoŃnicy

Co za palant z tego Damiana - pomyŃlałam, gotujac się aŃ ze złoŃci. Jemu się chyba wydaje, Ńe wszystkie dziewczyny w biurze na niego lecą i dlatego moŃe robić, co chce!

DziŃ po operatywce podszedł do mnie, ot tak, i poprosił o kontakty do kluczowych klientów!

- Szefowa mnie poprosiła, Ńebym zrobił dla niej taką listę, mam nadzieję, Ńe nie będziesz miała nic przeciwko temu? - zapytał, uŃmiechajac się niewinnie. - No wiesz, zostałem wlaŃnie jej asystentem.

Owszem, miałam, i to wiele! To byli przecież moi klienci! Zdobywałam te kontakty przez wiele miesięcy, i co? Teraz miałam mu je tak po prostu oddać? Nie mogłam odmówić wprost.

- Wpadnij za godzinę, teraz jestem zajęta - zbyłam go z rozkosznym uśmiechem. Chciałam zyskać trochę na czasie, dostać się do szefowej i sprawdzić, czy to jest naprawdę jej decyzja. Jeśli tak, to dlaczego nie przesłała mi takiego polecenia e-mailem? Dotąd zawsze tak robiła...

Jednak Damian nie kłamał.

- Pani Joasiu, istotnie tak postanowiłam. I proszę się do mojego polecenia zastosować jak najszybciej! - usłyszałam wkrótce z jej wymalowanych ust. Aż się zagotowałam. Damian zyskując kontakty do moich klientów, mógł zacząć z nimi podpisywać nowe umowy na ubezpieczenia, tym samym pozbawiając mnie zarobków! Doprawdy nie wiem, dlaczego nagle zaczął się cieszyć względami szefowej!

- Aśka, coś ty, naprawdę się nie domyślasz? - Magda uśmiechnęła się ironicznie, gdy poszliśmy do kuchenki zrobić sobie kawę. - Damian ostatnio nawiązał z szefową naprawdę ciepłe stosunki...

O kurczę! Sypiają ze sobą! No, na to już nie znajdę rady. Chyba że... Do szefowej dojdą brzydkie plotki o biurowych podrywach Damiana, wtedy wykopie go ze swojego łóżka! I cóż z tego, że będę musiała nieco pozmyślać? Jestem w tym naprawdę dobra!

- A ty wiesz... - przysunęłam się natychmiast do Magdy. - On miał wcześniej romans z tą rudą Agatą z kadr!

Brzmiało to całkiem prawdopodobnie, bo widziałam parę razy, jak podwoził Agatę do pracy. Podobno mieszkali niedaleko siebie i po prostu zgarniał ją z przystanku, ale... Mogli się tylko tak kamuflować, prawda?

- No co ty? - podchwyciła natychmiast Magda, a robiąca sobie herbatę dziewczyna z kadr niby była zajęta czajnikiem, ale też wyraźnie zastrzygła uszami.

Doskonale! Plotka poszła w korytarze. Tylko że jedna jaskółka wiosny nie czyni, więc na tym jeszcze nie koniec, musiałam być bardziej kreatywna! Zaczęłam baczniej obserwować, z którymi dziewczynami Damian lubi rozmawiać najbardziej. Nie było to trudne, ponieważ gadał praktycznie ze wszystkimi. I był wyjątkowo uczynny! A to Monice zrobił kawę, a to Sylwii przyniósł kwiatek, gdy płakała po rozstaniu z chłopakiem. Zawsze milusi to obłędu, szarmancki, aż można było mdłości dostać. Po prostu biurowa maskotka! Naprawdę miałam więc z czego tworzyć swoje pikantne historie. Z rozmysłem doбираłam te koleżanki, którym powierzałam w najgłębszym sekrecie moje podejrzenia co do romansów Damiana. Musiały to być znane w biurze plotkary, a w dodatku niespełnione w uczuciach, żeby z zazdrości obrobiły tyłek wybranej szczęściarce. Plotka powinna dotrzeć do szefowej! I to w dojrzałej, bardziej smakowitej formie!

Każda z osób w łańcuszku dodawała zapewne swoje szczegóły, a ja bawiłam się wyśmienicie całą tą sytuacją!

Po miesiącu nagle już nie było mowy o tym, że Damian ma przejąć kluczowych klientów.

A po dwóch...

- Słyszałaś, że szefowa zmieniła sobie asystenta? - Magda jak bomba wpadła do mnie do pokoju.

- Ma nowego? A co z Damianem? Wywaliła go na zbity pysk? - czujnie uniosłam głowę znad papierów.

- Jeszcze nie! - Magda z podniecenia aż się zasapała. - Podobno został przeniesiony do kontrolingu!

- No to tam, nasz biedny Damianek, niestety sobie nie poszaleje! - zaśmiałam się złośliwie. W kontrolingu pracowali bowiem prawie sami mężczyźni i tylko kilka statecznych pań koło pięćdziesiątki.

- Podobno kiedy usłyszał tę przykrą nowinę, minę miał nietęgą. I zarzekał się, że znajdzie tego plotkarza, który o nim opowiada niestwo-

rzony rzeczy, i obedrze go ze skóry! - Magdzie roziskrzyły się oczy. Wzruszyłam tylko ramionami. Te wszystkie plotki wyszły wprawdzie ode mnie, ale z całą pewnością każda z osób, która je kolportowała po naszym biurze, przypisała sobie wszystkie zasługi, więc praktycznie... byłam nie do namierzenia! A jednak...

Kilka dni później zostałam w biurze chwilę dłużej. Chciałam dokończyć pracę: musiałam sprawdzić polisy, zadzwonić do kilku klientów i z nimi porozmawiać. A to tego był mi potrzebny spokój.

U mnie paliła się tylko lampka na biurku, reszta pomieszczenia tonęła w mroku, gdy ktoś stanął w drzwiach. Jakiś rosły cień...

Poczułam niepokój. Wprawdzie na dole siedział strażnik, ale przecież mógł nie zauważyć intruza, który wszedł tutaj, do mojego pokoju, żeby...

Przełknęłam głośno ślinę. Ledwo mi przeszła przez ściągnięte strachem gardło, kiedy intruz

zbliżył się do mojego biurka i nagle znalazł się w kręgu światła. Damian!

- Cześć, Joasiu! Podobno jesteś jedyną dziewczyną w naszym biurze, z którą jeszcze nie spałem! - zagadnął mnie rzeczowo i bez żadnych ogródek.

Splonęłam rumieńcem.

- Ale... Coś ty... Nie wiem, o co ci chodzi! - wydukałam niezbyt pewnie.

- O te wszystkie dziwne plotki, które o mnie rozpuszczasz! - stwierdził Damian, pochylając się nade mną.

Poczułam zapach jego wody toaletowej i jeszcze czegoś... Tak pachniały chyba drapieżniki, gdy namierzyły już swoją ofiarę i szykowały się do ataku!

Chciałam wstać, ale popchnął mnie znowu na krzesło.

- Zacznę krzyczeć! - zapowiedziałam.

- Krzycz! - zgodził się spokojnie. - Na całym piętrze nie ma nikogo, a pan Jasio siedzi w swojej kanciapie i ogląda mecz na cały regulator. Myślisz, że cię usłyszy?

- Są jeszcze kamery! - dodałam słabo.
- Tak, są na korytarzu! A my jesteśmy tutaj!
- rozłożył ręce.
- Co chcesz zrobić? - znowu przełknęłam głośno ślinę.
- Porozmawiać. Tylko porozmawiać!
- To rozmawiajmy... - zgodziłam się słabo, po czym nagle poderwałam się z krzesła. Chciałam pokonać kilkoma susami przestrzeń dzielącą mnie od drzwi i wypaść na korytarz, gdzie byłabym już bezpieczna, ale...
Damian widocznie przewidział moje zamiary, bo wyrósł niespodziewanie między mną a drzwiami i wpadłam prosto w jego silne, stanowcze ramiona, które zacisnęły się mocno wokół mnie.
- Puszcz... - zaczęłam słabo, ale owinał mnie sobą niczym boa dusiciel i nagle jego usta znalazły się na moich i spiły z nich słowa protestu. Ze zdumieniem odkryłam, że wcale nie chcę już protestować! Jakby Damian mnie zaczarował tym pocałunkiem i zmienił w zupełnie inną Aśkę, słabą i uległą...

Zawisłam bezwolna w jego ramionach, a on oparł mnie o brzeg biurka i przegiął tak, że położyłam się na papierach.

„Moje umowy” - przemknęło mi jeszcze przez myśl, ale zaraz straciłam całkowicie poczucie rzeczywistości.

Damian nacierał na mnie całym ciałem, biorąc moje piersi w posiadanie jak swoją własność. I rozpalając we mnie żądze, o które absolutnie się nie podejrzewałam! Rozpiął mi sukienkę od góry do dołu i z dużym zaskoczeniem odkrył pod nią samonośne pończochy, moją wielką słabość.

- Mmmmm... Wiedziałem, że się co do ciebie nie mylę. Tylko ktoś tak namiętny mógł wygadywać te wszystkie bzdury o moich romansach! - mruknął tylko.

Oddech skrócił mu się do granic możliwości, a między nogami nabrzmiało pożądanie, którego już nie był w stanie ukryć.

Po chwili poczułam go w sobie. Moje ciało harmonijnie dostosowało się do ruchów jego ciała, po czym w ułamku sekundy wysłał mnie

do gwiazd! Wijąc się z rozkoszy, roztrąciłam przedmioty na biurku, które posypały się na podłogę z głuchym łoskotem. Ale my nawet nie zwróciliśmy na to uwagi zajęci wyłącznie własnymi doznaniem, spleceni w uścisku, który... Nie wiadomo, czy walką był jeszcze, czy już miłością...

- Kochanie... - wyszeptał mi na koniec do ucha Damian, wkładając w to jedno słowo tygodnie niespełnionego pożądanego, które - jak sobie teraz uświadomiłam - narastało w nim i we mnie, podczas naszych biurowych potyczek. - Kochanie... Kiedy godzinę później, doprowadziwszy się do porządku, wychodziliśmy razem do domu, Damian nie miał w swojej teczce służbowych papierów, tylko wydruk ksero z odciskiem mojej zgrabnej pupy...

- Wezmę go sobie na pamiątkę! - stwierdził ze śmiechem.

- Po co, skoro będziesz miał teraz pod ręką oryginał? - zapytałam go przekornie. Ale on tylko pocałował mnie w ucho.

- Widziałaś? - zapytała mnie na drugi dzień Magda, gdy tylko weszłam do biura. Była aż spocona z przejęcia.
 - Co takiego? - wzruszyłam ramionami.
 - Dowód na romanse Damiana, które ma w pracy! Wisi na tablicy informacyjnej!
 - Magda aż zachłysnęła się z przejęcia. - Mówię ci, szefowa dostała szału!
- Dowód? Trochę szybciej niż zamierzałam, pognałam korytarzem do tablicy. No, jeśli on naprawdę ma z kimś romans, to... Już ja mu pokażę! - myślałam wściekła. W ostatniej chwili wyhamowałam przed tablicą i omal nie zaniósłam się śmiechem. Wisiało na niej... ksero mojej pupy! Jeden egzemplarz musiał nam sfrunąć na podłogę i ktoś go rano znalazł. Byłam nierozpoznawalna, za to dłonie Damiana jak najbardziej, ponieważ widniała na nich charakterystyczna srebrna obrączka, którą zawsze nosił!
- Miałaś rację co do tych jego romansów! A ja myślałam, że trochę fantazjujesz - stwierdziła Magda.

Damian za ten wyskok wyleciał z pracy. Może to i lepiej dla nas, bo w końcu i tak by się kiedyś wydało, że jesteśmy parą. I wtedy pewnie szefowa wylałaby nas oboje!

Pułapka na naiwną

Elka wszystko wymyśliła i wkręciła mnie w tę aferę. Znamy się od lat, nie miałam więc powodu nie wierzyć przyjaciółce! Skoro postanowiła utrzyć nosa temu gnojkwowi, mogłam jej tylko przyklasnąć. Tym bardziej że ja miałam robić jedynie za przynętę... Ale po kolei.

Ela pracuje w dziale kreatywnym agencji reklamowej. Wiecie: wymyślanie scenariuszy reklam, haseł itp. Dupek (Ela nigdy nie mówiła o nim inaczej) pracuje razem z nią, choć w innym zespole. Przez ostatni rok, odkąd ów facet pojawił się w firmie, stanowił główny temat jej narzekań.

Niemal cały niedzielny wieczór przesiedziałyśmy, obmyślając zemstę. Ela okazała się całkiem zmyślną intrygantką.

- Musimy to zrobić w poniedziałek rano - powiedziała na koniec, gdy spisałyśmy na kartce wszystkie szczegóły operacji o kryptonimie „Pułapka na dupka” (niespecjalnie finezyjna ta nazwa, ale czego oczekiwać po drugiej butelce wina?).

- W ten poniedziałek? Jutro?

- Koniecznie.

- Dlaczego? Ja wolałabym wtorek.

- Nie - w głosie Eli wyczułam upór.

- Dobra, niech będzie - zgodziłam się, bo koszmarnie chciało mi się spać.

W poniedziałek rano nie czułam się jak zdobywca świata. I to nie tylko za sprawą rozwijającego się kaca. Moja pewność, że dobrze robimy, ułatwiała się wraz z alkoholowymi oparami... Z drugiej strony - biorąc pod uwagę opowieści Eli - facet był wyjątkową świnią. Podrywał kobiety, a potem opowiadał o randkach ze szczegółami kolegom z pracy. Donosił na rywali

szefostwu. Wygryzł ze stanowiska swojego poprzednika. Lista przestępstw była długa. A on bezkarny.

Z domu wyruszyłam podkręcona gniewem i trzema filiżankami kawy. Zanim dojechałam na miejsce akcji, przeładowany kofeiną organizm dostał drżaczki. W głowie mi szumiało, bicie serca zagłuszało myśli.

O ósmej byłam już na parkingu przed supersamem, gdzie dupek trzymał swój samochód, srebrnego opla. Numer rejestracji zgadzał się z tym, jaki miałam na kartce. Trzy miejsca dalej stał volkswagen podstawiony przez Elę tego ranka na parking - własność któregoś z jej kuzynów.

Nerwowo zaciskałam rękę na kostiumie odebrany z pralni chemicznej - cienki, metalowy wieszak grał główną rolę w naszej intrydze. Podobnie jak lekko uchylone okno od strony pasażera oraz kluczyki w stacyjce.

Ela wszystko dobrze przygotowała. Ja miałam zagrać głupią blondynkę.

O godzinie ósmej piętnaście do opla podszedł wysoki szatyn. Do kofeinowej drżaczki

dołączyła nowa fala stresu. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Dupek otwierał drzwiczki auta, gdy na drżących nogach podeszłam do niego. Ledwo udało mi się wydobyć głos. Tak cichy i słaby, że sama siebie nie słyszałam.

- Czy może mi pan pomóc?

Musiał chyba mieć słuch nietoperza, bo odwrócił się i spojrzał na mnie. Zupełnie nie wyglądał na szowinistycznego dupka. Gdybym spotkała go na jakiejś imprezie, powiedziałabym, że to atrakcyjny mężczyzna z poczuciem humoru i o miłej osobowości.

- Pomogę, o ile będę w stanie.

Miał ciepły głos. Niski i łagodny. Ha! Pełen arsenał środków do zdobywania kobiet, manipulowania ludźmi!

Przyznam, że choć znałam jego prawdziwą naturę, czułam ogarniającą mnie chęć poznania go, ogrzania się w jego ciepłe...

- Widzi pan, poszłam odebrać pranie - uniosłam garsonkę - i... zatrzasnęłam kluczyki w samochodzie. I teraz nie mam jak otworzyć auta.

Słyszałam, że można wieszakiem... Może pan mi pomoże?

Popatrzył niepewnie na wieszak, na zegarek, potem na mnie (za namową Eli włożyłam obcisłą spódnicę, bluzkę z odważnym dekoltem i szpilki, które torturowały mi stopy, za to dobrze eksponowały łydki), jego oczy rozbłysły - naprawdę szkoda, że z niego taki łajdak! Nic to...

- No cóż, spróbować zawsze można - rzekł. - Choć nie gwarantuję sukcesu.

Trzęsącymi się rękami uwolniłam garsonkę z wieszaka i podałam go facetowi.

Podeszliśmy do samochodu kuzyna Elki.

Po chwili zastanowienia mężczyzna wygiął wieszak i zaczął go wpychać do środka... Zajęty włamem nie widział, jak się wycofuję. A ja, ledwo skryłam się za kioskiem, uciekłam. Resztą miała zająć się Elka.

Najgorsze, że ten dupek mi się spodobał! Doskonale rozumiałam, dlaczego kobiety pchały się w jego ramiona.

Ten jego uśmiech skusiłby nawet zakonnicę do nieprzystojnych myśli i marzeń o domku

z ogródkiem. A co dopiero taką jak ja, samotną i spragnioną miłości trzydziestolatkę. Elka odezwała się dopiero wieczorem.

- Dupek został zatrzymany za próbę kradzieży samochodu. Pewnie wywalą go z roboty. Dobrze mu tak! - powiedziała.

- Wcale nie jestem z tego dumna - mruknęłam. - Przesadziłyśmy.

- Nie żartuj! A przy okazji, pogratuluj mi. Dostałam awans - zastrzeliła mnie. - Na szefa działu kreacji. Będę teraz zarobiona, ale jak tylko wykrobie trochę czasu, postawię ci dobrą kolację. Buźka, Aguś!

Tej nocy nie spałam zbyt dobrze. Śniła mi się Elka. Szczyrzyła kły i oblizywała straszliwie ostre szpony, z których kapała krew. Śnił mi się także on, dupek, a zwłaszcza jego uśmiech. I błysk w oczach.

Obudziłam się nad ranem, spocona, ze skręconym żołądkiem. Niepokój zżerał mi serce. W końcu koło południa nie wytrzymałam i zadzwoniłam do Izy, sekretarki w firmie Elki, którą kiedyś poznałam.

- Cześć Iza, tu Aga. Co tam u was słychać?
 - Nie wiesz? Elka ci nie mówiła?
 - Dostała awans...
 - Psim swędem. Gdyby nie to, że Radecki nie pojawił się na rozmowie kwalifikacyjnej, nawet by jej nie brali pod uwagę. Poczulałam, jak znowu skręca mi żołądek.
 - Nie rozumiem.
 - Gdyby nie to, że na stanowisko dyrektora nowych projektów musiał być rozpisany konkurs, robotę dostałby z marszu Darek Radecki. I słusznie. To geniusz. Ale konkurs musiał być. Zgłosiło się ileś tam osób, do ostatecznej rozmowy wybrano dwie: Darka i Elkę. Tyle że on się nie pojawił. Podobno miał kłopoty z policją... To pewnie nieporozumienie. Ale jest, jak jest, Elka wygrała walkowerem.
- Iza miała jakiś dziwny głos.
- To niedobrze, że wygrała? Milczenie.
 - Iza, czy ten Radecki to ten wasz biurowy łajdak? Ten... dupek?
- Westchnienie.

- Aga. Lubię cię. Wiem, że przyjaźnisz się z Elką od lat, więc nigdy nic nie mówiłam... Uważaj na nią. A Radecki to wspaniały facet i kolega. Żaden łajdak. Elka... startowała do niego na samym początku, ale nie był zainteresowany, więc zaczęła tryskać jadem. Nie wierz w nic, co o nim mówi. I gdybyś mogła nie wspominać Elce, że ze mną rozmawiałaś. Chciałabym tu jeszcze popracować, chociaż z nią jako szefową projektów nie będzie zbyt przyjemnie. Wszyscy chodzą podminowani.

Poczułam mdłości. Tak jak poprzednio, gdy patrzyłam na dupka... - to znaczy Darka - jakoś nie mogłam dojrzeć w nim łajdaka, tak teraz z łatwością mogłam sobie wyobrazić Elkę snującą plany pozbycia się konkurenta do wymarzonego stanowiska. Zawsze była chorobliwie ambitna. I zawsze wyczuwałam w niej tę ciemną stronę. Przypomniałam sobie kilka wydarzeń jeszcze ze szkoły, o których w imię przyjaźni starałam się nie pamiętać, i wiedziałam już, co mam zrobić. Tym razem nie wypiliśmy mocnej kawy, nie miałam kaca, ale stres i tak ścisnął mi mózg

i serce stalowym imadłem. Siedziałam na ławce pod sklepem i wpatrywałam się w srebrnego opla na parkingu...

Musiał wyczuć moje spanikowane spojrzenie, bo otworzywszy drzwiczki auta, spojrzał w moją stronę. I zastygł. Rozpoznał mnie.

Patrzyłam na niego rozpaczliwie, próbując się uśmiechać. Odwrócił wzrok, zawahał się. W końcu zatrzasnął drzwiczki i podszedł do ławki. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Jego twarz była poważna, pytająca. Zateęskniłam za jego uśmiechem.

- Powinnam wstać, ale przyznam się, że nogi mi się trzęsą ze strachu - powiedziałam.

- Nie powiedziałbym, że jest pani tchórzem - odezwał się. - To pani poszła na policję, prawda? I zadzwoniła do mojego szefa?

- A cóż mogłam innego zrobić, gdy dowiedziałam się, co wykombinowała moja przyjaciółka? Moja była przyjaciółka - dodałam. - Nie wiem, jak mam pana przeprosić.

- Darek - powiedział i usiadł obok mnie.

- Agnieszka.

Patrzył na mnie poważnie.

- To okropne - zaczęłam nieśmiało. - Nie mam pojęcia, jakim cudem dałam się w to wrobić. Elka wmówiła mi... Nie, nie ma na to wytłumaczenia! - odwróciłam wzrok i wpatrzyłam się w swoje dłonie. - Nie wiem, jak ci to wynagrodzić.

- Właściwie to nawet jestem zadowolony - powiedział po chwili.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Uśmiechał się leciutko. Uśmiechał się?

- Nie rozumiem.

- Nie stało się nic strasznego. Mnie oczyszczono z zarzutów, Elka straciła pracę.

Teraz policja zainteresowała się nią. Pewnie wiesz.

- Nie. Nie rozmawiamy. A awans?

- Dostałem go. Poczulałam przyływ radości.

- To wspaniale! Przechylił głowę.

- Ale jesteś mi winna zadośćuczynienie.

- Wszystko - powiedziałam gwałtownie. - Co tylko zechcesz!

Roześmiał się i słońce wyjrzało zza chmur.

- Nie bądź taka szczodra, bo nie masz pojęcia, czego chcę.

Jego oczy zabłyśły i nagle moje bijące szaleńczo serce zmieniło rytm. O rany...

- Tak? - spytałam ostrożnie, z nadzieją.

- Na początek kolacja. Spodziewam się, że dobrze gotujesz. A jak nie, to może być chińszczyzna. Ale u ciebie. Wiesz, świece i te rzeczy. Jestem wymagający.